

MONTREAL

Krzysztof Janicki str. 6

NIEDŹWIEDŹ W KOSMICZNEJ RAKIECIE

Marek Adam Jaworski str. 8-9

Jak się ustrzec raka?

str. 2

Kamienica

czas 2552/1976/15

Przebież obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

ROK ZAŁOŻENIA 1933

LUBLIN 25 VII 1976 Nr 15 (605)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Jan Pock

UKOCHAŁEM

Ukochałem cię, ziemio Polską nazwaną,
Ziemio w ognistym helmie słońca,
Miłością szerszą od dziecięcej,
Miłością białego bociana
I kapłana czarnych ról
I błękitnego nieba —
Szarego skowronka!..

Ukochałem was, bracia chłopi
O czerstwych obliczach,
O oczach, jak polne potoki
Błękitnych,
Miłością Jana Kasprowicza,
Żarem Marii Konopnickiej!..

Umiłowałem cię, mowo urocza,
Hodowana przez całe lata,
Jak malwy,
Maki
I róże,
Prostą miłością chłopca,
Wierną miłością Polaka.

ŻE TY JESTEŚ MOJĄ OJCZYZNĄ

Ziemio śpiewem skowronków karmiona
barwniejsza od pliszek i szczyglów
tak bardzo jestem szczęśliwy
że ty właśnie
jesteś
moją Ojczyzną.

I tak wiele czuję w sercu radości
że obydwójce
jednakie nosimy —
ty w niebie
a ja w oczach —
zorze

i szczęściem rozkwitają moim oczom
twe łąki i pola
i szczerym złotem płyną
gdy
wymieniamy
dwa najprostsze słowa:
— matko
— synu



Rys. Konrad Kozłowski

TWARZE LIPCA

Zygmunt Mikulski

COŻ na to poradzę, że w obrazie wyzwolonego Lublina najmocniej uderzył mnie nie rozbity czołg, nie rozpruty słup, nie splątany drut, ale zwyczajny piach. Dziwne? Nie tak bardzo. Ostatecznie na to, że po przejściu ofensywy zostaną zniszczenia, byłem przygotowany, natomiast skąd miałem przypuszczać, że miasto znajdzie się w neglżu? Wiadomo w czym rzecz: każdy większy budynek Niemcy przygotowali na punkt oporu, więc zerwaniem chodników i bruków zapewnili sobie szybki dostęp do ziemi na wypadek pożaru, czy przerwania zapory ogniowej, ale po fakcie efekt

tego dziwnie nie mieścił się w wymowie „normalnowojennych” realiów. Piach to zawsze coś wspólnego z rzeką, przelajem, dzieciństwem, bosą stopą, jego obecność w mieście, i to w centrum, nie mogła nie zaskoczyć. Wyszlaliśmy nie tylko na wolność, ale również w przestwór oswobodzony z kamienia.

A skoro z kamienia, to i z cywilizacji. Bardzo dziwnie chodziło się po tym Lublinie jakby nie współczesnym, Lublinie jakiegoś

Dokończenie na str. 8-9

Jak się ustrzec raka?

RAK — choroba ciągle groźna. Londyński „Sunday Times” zamieścił dwa artykuły swego specjalisty naukowego, Olivera Gillie, na temat nowych teorii, dotyczących zachorowalności na raka i diety, mającej przed nim chronić.

Na wstępie autor przytacza sensacyjny wniosek, do jakiego doszli uczeni ze Światowej Organizacji Zdrowia: „W dziewięciu na dziesięć przypadków raka można temu zapobiec przez zmianę sposobu życia”.

Obecnie uważa się, że rak jest chorobą powodowaną przede wszystkim przez środki żywnościowe, jakie spożywamy, przez substancje chemiczne, które dostają się do naszych płuc i skóry, oraz przez radiację. Oznacza to odwrót od szeroko akceptowanej tezy naukowej, że rak jest wywołany głównie przez wirusy lub jest następstwem wrodzonej skłonności do tej choroby.

Dziś w Wielkiej Brytanii na raka umiera co piąty człowiek. Można jednak doprowadzić do tego, aby umierał co pięćdziesiąty, jeśli potrafimy ustalić wszystkie przyczyny powstawania raka w naszym środowisku naturalnym i wyeliminować je dzięki czemu zmniejszymy zachorowalność na każdy rodzaj raka do najniższego poziomu, jaki występuje w innych częściach świata.

Badania — stwierdza dalej autor — w skali światowej nasuwają myśl, że przyczyny powstawania raka są różne, ale wysokokaloryczne posiłki, jakie się spożywa codziennie, mogą stanowić jedną z najważniejszych. Obecnie podejrzewa się, że wielka ilość tłuszczu i mięsa, którą konsumujemy, jest głównym powodem raka piersi i przewodu pokarmowego — dwóch najbardziej powszechnie występujących postaci raka w Europie i Ameryce Północnej. Te dwie formy raka stanowią przyczynę śmierci 28 tysięcy osób w Anglii i w Walii. Jeszcze większe żniwo — 32 tysiące ofiar — zbiera tylko rak trachwiczy, oskrzeli i płuc, będący niemal wyłącznie skutkiem palenia. Ze wszystkich rodzajów raka nie związanych z paleniem jedna trzecia, jak się wydaje, jest powodowana przez wysokokaloryczną dietę.

Organizm człowieka nie jest przystosowany do zjadania wielkich ilości mięsa i tłuszczu, jakie się obecnie spożywa. Już od pewnego czasu wiadomo, że gromadzenie się tłuszczu, w naczyniach krwionośnych powoduje, iż jesteśmy bardziej narażeni na ataki serca i zawały. Teraz okazuje się, że to niedostosowanie

organizmu czyni nas podatnymi na pewne rodzaje raka.

Pierwsze sugestie na temat związku między tym, co się je, a rakiem nasunęły porównania sposobu żywienia się Amerykanów i Japończyków. W Japonii wskaźnik choroby na raka piersi jest najniższy na świecie i wynosi zaledwie jedną czwartą zachorowalności kobiet angielskich i jedną szóstą zachorowalności kobiet w Oakland, bogatym przedmieściu San Francisco. Rak prostaty, jąder i jajników także występuje w Japonii stosunkowo rzadko.

Jeszcze kilka lat temu wielu naukowców uważało, że Japończycy mają właściwą ich rasie wrodzoną odporność na te rodzaje raka. Później odkryto, że Japonki mieszkające w USA są czterokrotnie bardziej podatne na raka piersi niż kobiety zamieszkałe w Japonii. Identyfikacja jest z Japończykami: jeśli mieszkają oni w USA częściej chorują na raka prostaty, jąder i jelit.

Czy jest możliwe, aby zmiana diety, opartej na ryżu i rybach, na dietę amerykańską, bogatą w mięso i tłuszcz, sprawiła, iż imigranci japońscy są bardziej podatni na raka? Rak jelit może być, oczywiście, wywołany przez coś, co spożywamy, ale myśl, że rak piersi, prostaty, jąder czy jajników też może mieć przyczynę w pożywieniu, wydaje się na pierwszy rzut oka niewiarygodna. Jednakże do takiego wniosku dochodzą obecnie eksperci do spraw raka.

Dr John Berg z Ośrodka Badania Raka Uniwersytetu stanu Iowa powiada: „Można posunąć się tak daleko, żeby na podstawie rozważań twierdzić, iż ludzkość w zasadzie rozwijała się w zasadach racjonalnej diety — o niskiej zawartości tłuszczu i białka — a obecna wysokokaloryczna dieta, stosowana od dzieciństwa, może nadmiernie pobudzać gruczoły dokrewne (wytwarzające hormony) i wywołać taki sam skutek, jak stosowanie do silnika wysokoprężnego paliwa o wielkiej liczbie oktanów”.

Kobiety mające nadwagę są bardziej zagrożone zachorowaniem na raka piersi niż kobiety o wadze normalnej dotyczy to zwłaszcza starszej grupy wiekowej. Pewne hormony płciowe zmieniają się w inne tłuszczu ciała, toteż w ciele kobiety otwleją mogą w rezultacie powstać odbiegające od normy proporcje hormonów, co sprzyja rozwojowi raka piersi.

Koncepcja ta pokrywa się z innymi obserwacjami świadczącymi, że kobiety, u których rozwija się rak

piersi, często mają odbiegające od normy proporcje hormonów. Także miesięcznikowanie przebiega u nich w sposób odbiegający od normy. Mają mniej dzieci niż wynosi przeciętna, prawdopodobnie dlatego, że jajczkowanie nie następuje w połowie miesięcznego cyklu, jak to się zwykle dzieje. Kobiety, które cierpią na raka piersi, mają w późniejszym wieku pierwsze dziecko — znów prawdopodobnie dlatego, że są względnie niepłodne. I jest prawdopodobne, że miesięcznikowanie ustaje u nich później. Wszystkie te fakty da się obecnie wyjaśnić różnicą w proporcjach hormonów między kobietami, które zachorowały na raka piersi, i tymi, które go nie mają. A to z kolei może być wynikiem różnic w sposobie żywienia się.

Za tą teorią hormonalno-dietetyczną przemawiają wyniki badań dr. Briana MacMahona z Harvardzkiej Szkoły Zdrowia Publicznego, który stwierdził, że Japonki mają we krwi mniejszą ilość dwóch hormonów płciowych, estronu i estradiolu niż kobiety amerykańskie. Poparcie tego argumentu stanowi stwierdzenie, że Japonki na Hawajach, które żywią się na modłę częściowo japońską, a częściowo amerykańską, mają we krwi pośredni poziom obu hormonów, a stopień ich zagrożenia rakiem piersi jest również pośredni.

Dalszy dowód pochodzi z wyspy Guernsey, gdzie ok. pięć tysięcy kobiet dawało próbki moczu pobieranego przez całą dobę. Gdy 27 z tych kobiet zachorowało później na raka piersi, analiza ich próbek moczu wykazała, że kobiety, które miały raka piersi, wytwarzały nadmierne ilości hormonów męskich w okresie poprzedzającym chorobę nawet o dziewięć lat. (Małe ilości hormonów męskich znajdują się normalnie w ciałach wszystkich kobiet). W ten sposób stwierdzono po raz pierwszy, że kobiety, u których rozwija się rak piersi, mają odbiegające od normy ilości hormonów zanim rak da się wykryć.

Sprawa ta wciąż jeszcze nie jest w pełni wyjaśniona ze względu na to, iż trudno mierzyć hormony w małych ilościach, a także ze względu na długi okres czasu, jaki trzeba czekać na wyniki.

Doświadczenia, przeprowadzone ze zwierzętami, potwierdziły w warunkach laboratoryjnych istnienie związku między dietą a rakiem. W porównaniu z dietą zawierającą równe ilości kalorii, głównie w postaci węglowodanów (krochmalu), dieta bogata w tłuszcz powoduje u myszy i szczurów wzrost zachorowal-

ności na raka piersi i jelit, natomiast nie przyczynia się do wzrostu zachorowalności na raka innych organów. Szczury karmione pokarmami z dużą ilością tłuszczu mają we krwi zwiększone ilości hormonu zwanego prolaktyną, która jak się zdaje — jest jednym z głównych czynników sprzyjających rozwojowi guzów w piersi. Prawdopodobnie podobny proces może zachodzić u kobiet.

Dla kobiet mieszkających w Europie czy Płn. Ameryce niebezpieczeństwo zachorowania na raka piersi wzrasta po ustaniu miesięcznikowania, natomiast u kobiet japońskich, i tak w mniejszym stopniu zagrożonych rakiem piersi, niebezpieczeństwo to po ustaniu miesięcznikowania maleje. Nasuwa to wniosek, że proporcje między prolaktyną a żeńskimi hormonami płciowymi, które ulegają zmianie w okresie ustania miesięcznikowania, mogą mieć kluczowe znaczenie dla powstania warunków sprzyjających wzrostowi komórek raka piersi. Po ustaniu miesięcznikowania zmniejsza się ilość żeńskich hormonów płciowych, natomiast pod wpływem diety bogatej w tłuszcz, poziom prolaktyny może pozostać wysoki. Są to warunki, które — jak się uważa — sprzyjają wzrostowi komórek raka piersi. Też dla kobiet, które zwykły jadły tłusto, jest rzeczą szczególnie ważną zmniejszenie ilości tłuszczu w diecie po ustaniu miesięcznikowania.

Raka jelit również wywołuje dieta bogata w tłuszcz. Do Szkocji, w której jada się tłusto i spożywa stosunkowo niewiele jarzyn, należy rekord świata w zachorowalności na raka odbytnicy!

To wszystko nie świadczy jednak, iż istnieje tylko jedna przyczyna zachorowań na raka. W grę wchodzić muszą również i inne czynniki, ponieważ np. w Wielkiej Brytanii liczba przypadków raka piersi stale się zwiększa, podczas gdy zachorowalność na raka jelit wyraźnie maleje. Jednakże to, że dieta stanowi ważną część składową kompletności czynników powodujących wzrost zachorowalności na raka, nie podlega dyskusji.

Do najbardziej przekonujących dowodów świadczących o związku między dietą a rakiem należą wyniki badań prowadzonych wśród adwentystów i mormonów w Stanach Zjednoczonych. Wśród adwentystów częstotliwość śmierci na raka sięga połowy lub nieco więcej niż połowy krajowych przypadków. Adwentyści nie używają tytoniu, alkoholu czy kawy, co wpływa na niską zachorowalność wśród nich na raka płuc i warg, przełyku i pecherza. Jednakże nawet w porównaniu z ludźmi niepalącymi, częstotliwość występowania raka piersi, jajników, prostaty i jelit jest u nich znacznie niższa. Jest to na pewno wynikiem wegetariańskiej diety adwentystów.

LATO, więc znów odżywa sprawa potwora z Loch Ness tym razem jednak nie na łamach prasy, ale w pracowniach uczonych.

Potwór z Loch Ness — pisze „New York Times” — ma jakąś nieodpartą siłę atrakcyjną, niczym niezdobytą jeszcze szczyt górski, niezidentyfikowany „obiekt latający”, niczym rzeka, której jeszcze nikt nie przepłynął. Przez wiele lat dziwne i dotąd nie wyjaśnione zjawisko „Nessie” zwabiło tysiące badaczy na brzegi głębokiego, lodowatego zimnego jeziora szkockiego, od którego potwór wziął imię. Uczeni ci z podziwu godną wytrwałością wystawiali godzinami z wodą obserwując jej powierzchnię za pomocą kamer i teleskopów, kontrolowali jezioro z pokładów helikopterów, zapuszczali się w jego głębinę na łodziach podwodnych i badali jego dno sondami głębinowymi i kamerami dźwiękowymi.

Obecnie, po latach amatorskich obserwacji i jałowych raczej dyskusji na ukowych grupach inżynierów i uczonych opracowała szczegółowy plan operacji technicznej, która ma wreszcie ustalić, czy potwór z Loch Ness istnieje naprawdę, czy też jest tylko wytworem legendy.

Ekspedycja, która przystąpiła do pra-

cy w pierwszej połowie czerwca, zorganizowana została przez dr. Roberta H. Rinesa, prawnika i pedagoga z Bostonu, a patronuje jej bostońska Akademia Nauk Stosowanych oraz dziennik „New York Times”. W ekspedycji uczestniczy 25 osób, przeważnie Amerykanów. Celem jest uzyskanie za pomocą udoskonalonych kamer pod-

wodnych i innych przyrządów elektro-technicznych dokładnych i wyraźnych zdjęć fotograficznych domniemanego potwora, tak aby zoologowie mogli go zidentyfikować. Istnieją wprawdzie fotografie „Nessie” robione w poprzednich latach, są to jednak tylko bardzo niewyraźne wizerunki, ukazujące zaledwie zarysy jakiegoś stworzenia, które, jak wynikałoby ze zdjęć, ma nie-dużą głowę, długą jak u węży szyję i szeroki korpus. Są to niezbyt przekonujące dowody istnienia „Nessie”, zwłaszcza dla tych, którzy uparcie twierdzą, że potwór żyje tylko w wyobraźni niektórych nadmiernie podekscytowanych tym zjawiskiem badaczy.

Wystarczyły jednak, aby specjaliści mogli się zastanowić czy przypadkiem nie chodzi tu o jakąś pozostałość z czasów prehistorycznych bądź też o jakiś niesamowity wybrzyk natury.

Główne badania będą prowadzone w zatoce Urquhart, która stanowi odnogę jeziora. W tym właśnie miejscu zrobiono większość rewelacyjnych zdjęć w

tychmiast w głąb jeziora zapuszczone będą dwie kamery — jedna czarna-biała, a druga kolorowa, które zarejestrują na stereoskopie wizerunek obiektu. Takie zdjęcia będą dla badań bardziej pomocne aniżeli wszystko inne, co dotychczas wykonano.

Uczeni mają także do dyspozycji 16-milimetrową kamerę z filmem kolorowym, która dokonuje zdjęć co 15 sekund.

Wysuwa się kilka hipotez. Niektórzy uczeni twierdzą, że potwór z Loch Ness przypomina plesiosaury, gada morskiego, który prawdopodobnie zaniknął 70 milionów lat temu. Jednakże wody jeziora Loch Ness mają być dla takich gadów za zimne. Plesiosaury żyły ponadto w słonej wodzie, podczas gdy potwór z Loch Ness — jeżeli istnieje — żyje w wodzie słodkiej. Na to można znaleźć wytłumaczenie. Zmiany geologiczne po ostatniej erze lodowcowej spowodowały podniesienie się wyżyny szkockiej, a co za tym idzie izolowały jezioro Loch Ness od morza, co mogło spowodować, że znalazło się tam wiele stworzeń morskich. W ciągu tysięcy lat stworzenia te przeszły ewolucję i przystosowały się do bytowania w słodkiej wodzie. Są też fauny, którzy uważają, że potwór jest olbrzymią rybą, czymś w rodzaju wielkich jesiotrów, żyjących w Morzu Czarnym.

Hmm...

POTWÓR Z LOCH NESS

-BĘDĘ się starał przedstawić, jak idea Polski Ludowej rodziła się i rozwijała w środowisku, w którym przebywałem, a złożonym z ludzi wszystkich stanów i grup zawodowych, ubranych przez wojnę w Ostatnie dniarskie.

Ściana przeżyłem w wojennym nieszczęściu Warszawian w Wilnie. Pod ciążą Obozu wrogich korpusów pancernych w grzyby waliło się nasze państwo. W trzecim tygodniu wojny przyszedł dzień upadku na dno rozpaczy; upadku moralnego i psychicznego, całkowitej dezorientacji, oszołomienia absolutnego. Rozgorączkowany mózg poszukiwał dróg wyjścia, których nie widział... Tak się, przynajmniej początkowo, wydawało. Po otrząśnięciu się, po otrzeźwieniu, zaczęliśmy jednak przemyśleć: czy naprawdę nie ma już żadnego ratunku, żadnej drogi wyjścia?... Co robić?... Co zrobić, żeby nie nac się dorzucić?

Zimny rozsądek podsuwał myśli i wnioski logiczne: analiza stosunków radziecko-niemieckich wskazywała, że bezpośrednie zetknięcie się, po upadku Polski, dwu antagonistycznych potęg — faszyzmu i socjalizmu — musi w niedługim czasie doprowadzić do konfliktu między nimi, a w ostateczności do wojny i to do wojny na śmierć i życie.

Wygrana hitlerowców oznaczała zagładę narodu polskiego; wiedzieliśmy, czego możemy spodziewać się od zwycięskich w tej wojnie Niemców i byliśmy świadomi, że nie znajdzie się nikt, kto zechciałby stanąć w naszej obronie.

W toku tych rozważań wyłoniła się alternatywa: albo razem z ludźmi racjonalnymi, bez względu na nasze wzajemne stosunki przedwojenne, stanąć po jednej stronie i podjąć walkę aż do zwycięstwa, co oznaczało powrót do wyzwolonej ojczyzny, albo — pogodzić się ze straszliwą perspektywą hitlerowskiej niewoli. Wtedy jeszcze, z końcem września 1939 r., można było pójść na Litwę za druty, co nam, oficerom, najmniej odpowiadało. Myśleliśmy o poszukiwaniu pomocy i znalezieniu sposobności do walki, do ocalenia.

Ostatecznie ja pozostałem wraz z grupą oficerów. Nie było dla mnie zaskoczeniem pytanie radzieckiego komandora: dlaczego pan pozostał na miejscu?

Odpowiedziałem szczerze:

— Uwazam, że wcześniej czy później będziecie biec się z Niemcami. Wtedy będziemy wam potrzebni. Mamy i my z Niemcami własne porachunki, które chcemy przy tej sposobności wyrownac.

W odpowiedzi usłyszałem, że przyjdzie nam czekać na taką sposobność. Powiedziałem wtedy, że gotów jestem czekać i sądzę, że wcale nie będzie to czas odległy...

I rzeczywiście, bo już na jesieni 1940 r. uzyskaliśmy wstępna zgodę na przystąpienie do formowania polskiej dywizji piechoty. Złożyliśmy też ustną deklarację, że chcemy walczyć z Niemcami o wyzwolenie Polski u boku Armii Czerwonej i że będziemy rzecznikami sojuszu polsko-radzieckiego.

Rozpoczęte prace przygotowawcze nad formowaniem dywizji przerwał nagły wybuch wojny radziecko-niemieckiej. Mniej więcej w tym samym czasie gen. Anders zamieszkał w moskiewskiej willi. Któregoś dnia zapytano nas, czy chcemy rozmawiać z Andersem.

Rozmowa trwała całą noc. Anders miał nam za złe złożenie deklaracji o sojuszu polsko-radzieckim i twierdził, że my powinniśmy połączyć się z zachodnimi sojusznikami i zacząć walkę o wyzwolenie „z tamtego brzegu”. Anders dążył do budowy Polski identycznej z przedwojenną i nie zdawał sobie sprawy, albo nie dopuszczał myśli o tragedii narodu polskiego w wypadku klęski Związku Radzieckiego. Miał on własną koncepcję, antyradziecką przede wszystkim, i tej linii pozostał wierny. Sądzę, że rząd radziecki raczej chętnie godził się na jego późniejsze odejście z Kraju Rad, z armią, bo taki sojusznik nie był mu potrzebny.

Prosiłem o przyjęcie w szeregi Armii Czerwonej i wysłanie na front. W odpowiedzi — wkrótce po zakończeniu bitwy stalingradzkiej — wezwany zostałem do Moskwy. W przewidywaniu celu wezwania opracowaliśmy deklarację określającą nasze negatywne stanowisko w stosunku do rządu londyńskiego, wole odbudowania Polski demokratycznej, wolnej, suwerennej sojuszniczki Związku Radzieckiego, rezygnację z ziem zamieszkałych przez Ukraińców, Białorusinów i Litwinów, postulat powrotu Polski nad Odrę i Baltyk wraz z Gdańskiem i Prusami Wschodnimi oraz wole walki o wyzwolenie Polski u boku Armii Czerwonej

GENERAL

BERLING

MÓWI:



General Zygmunt Berling z żoną Marią

Fot. Jacek Sielski

drogą sformowania jednostek Wojska Polskiego.

W Moskwie dowiedziałem się, że będę przyjęty przez Stalina. Trudno mi dziś odtworzyć uczucie, które mnie ogarnęło, gdy otrzymałem tę wiadomość; miałem stanąć przed człowiekiem, który rządził jedną piątą ludzkości, otoczony był mitem, wielkością tak przytłaczającą, że już to oniesmieślało człowieka. Stalin był jednak całkiem naturalny, powiedziałbym — skromniejszy od wszystkich moich poprzednich rozmówców.

Pytał mnie przede wszystkim o stosunek do Sikorskiego, do którego zawsze zresztą żywiłem głęboki szacunek. Jeśli chodzi o przyszłość Polski, wyzwolonej spod hitlerowskiej okupacji, Stalin powiedział:

— Nie chcemy was uczuć, jak macie urządzać swoją ojczyznę. To wasza sprawa wewnętrzna. Chcemy jedynie pomóc wam. Trzeba zapamiętać o wszystkim, co dzieliło nas w przeszłości. My was potrzebujemy, ale i wam byłoby trudno nie dopuścić do tego, by nie powtórzyło się po raz drugi to samo. Sojusz naszych narodów leży zatem we wspólnym interesie.

Rzecz jasna nie cytuję dosłownej wypowiedzi Stalina, ale taki był ściśle jej sens.

W Moskwie zetknęliśmy się też z grupą współobywateli, członkami byłej Komunistycznej Partii Polski, oraz związaną z nimi Wandą Wasilewską. Stwierdziliśmy zbieżność naszych poglądów w takich kwestiach, jak sprawa politycznego i społecznego wyzwolenia Polski oraz sojuszu i przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. Zawsze byłem zresztą za wyzwoleniem Polski spod panowania obcego kapitału, za zmianami strukturalno-społecznymi — w tym względzie byliśmy całkowicie zgodni. Nieco kontrowersyjna była kwestia formowania jednostek Wojska Polskiego. Spór ten ostatecznie rozstrzygnięty został stanowiskiem rządu radzieckiego, który ustami Stalina wyraził gotowość poparcia i pomocy dla dążeń mających na celu odbudowę sił

niepodległej Polski i Wojska Polskiego. Komuniści czynnie podjęli pracę nakreśloną programem niepodległościowym. Ich dziełem było zorganizowanie Związku Patriotów Polskich w ZSRR. Część z nich weszła też w skład 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, gdzie odegrali wybitną rolę w organizowaniu spraw oświatowych, wychowawczych i bytowych.

Najtragiczniejszym dla mnie momentem w całej wojnie była ta chwila, kiedy żołnierz polski zdobył Pragę i stanęliśmy na prawym brzegu Wisły, na lewym zaś ginęli ludzie, nasi bracia, płonęło miasto, ukochane przez nas wszystkich — Warszawa, o której śniłem w obozie żołnierskim nad Oką. Warszawa — słowo zakłęcie, słowo magnes... Dotarliśmy tu w nieustannych bojach aż spod Kowla, ostatekiem sił, wykrwawieni mocno w bojach o wyzwolenie Pragi. W tej sytuacji patrzyłem płonące miasto i zmuszałem się do znalezienia jakiegoś sposobu pomocy. Zdawałem sobie sprawę, że zdobyć przyczółek możemy, ale nie mamy już sił, by go utrzymać. Ani my, ani Armia Czerwona. I dziś stwierdzam to obiektywnie, że nie utrzymalibyśmy się na drugim brzegu dłużej niż kilka dni. Ale jakże nie pośpieszyć z pomocą walczącej Warszawie? Patrzeć biernie na zagładę?... Ludzie po tamtej stronie musieli wiedzieć, że jesteśmy z nimi. Miałem zresztą na lewym brzegu Wisły swego radiotelegrafistę, który był przy pułkowniku Skokowskim i odbierałem od niego systematyczne meldunki. Znałem dobrze sytuację w powstańczej Warszawie. Dalem rozkaz forsowania Wisły.

Warszawa — to był dramatyczny moment w moim życiu. Choć takich chwil było więcej, wcześniej jeszcze i później, to jednak Warszawa przyćmiewa tamto wszystko. Dziś, bardziej niż kiedykolwiek, wiem, iż uczyniłem tak, jak powinien postąpić polski generał.

Gdzie witałem 9 maja 1945 roku? W Moskwie... Byłem w Akademii Wojskowej im. Woroszyłowa. Znajdo-

wałem się z dala od kraju i nie mogłem się cieszyć po polsku, dzielić tej radości wśród swoich. Ale byłem też dumny, że żołnierz, którego przygarbiłem na rosyjskiej ziemi, który przyszedł do obozu z dna rozpaczy, bez wiary i nadziei w przyszłość i w samego siebie, że ten żołnierz, którego przechodziło przekonywać, iż nie wszystko zostało stracone, że trzeba brać do ręki broń, uczyć się walki i śmiało ruszać naprzód, bo to jedyna droga do wolnej Polski, do domu, że ten żołnierz poniosł białoczerwony sztandar do Berlina, że ten żołnierz znalazł jeszcze w sobie tyle siły, żeby dać ojczyźnie to jedyne, co mu pozostało — własne życie.

Żołnierz polski zawsze zresztą zwykł wypełniać obowiązek wobec ojczyzny i narodu.

Byliśmy z dala od swoich — dywizja, czy armia — to kropła w morzu, ale nigdy nie musieliśmy się wstydić. Żołnierz polski wysoko niósł sztandar białoczerwony, a jego postawa była niezmienna od początku do końca działań wojennych.

Lenino — opiewane dziś na kartach podręczników historii. Tak, to był chrzest odrodzonego Wojska Polskiego.

1 Dywizja miała główne zadanie przełamania pierwszych linii nieprzyjaciela. Żołnierz poszedł jak na bal. Linie niemieckie pękały jak chruściane płyty pod naporem rozpedzonych tabunów koni. Chłopcy szli wyprostowani i nikt nie kładł się pod ogień, a jeśli ktoś upadł, to znaczy, że już nigdy nie powstał. Pierwotne zadanie dane dywizji przerodziło się w zaciekle boje z całą armią von Klugego. I to jest miara bohaterstwa. Niemcy nie dali rady jednej polskiej dywizji.

Artylerzyści radzieccy z najdalej wysuniętych punktów obserwacyjnych rzucali czapki w górę i wrzeszczeli:

— Molodcy, Polaki. Idut kak moriaki!

Tak, serce rosło, dech zapierało i coś ścisnęło za gardło, gdy patrzyłem na te zwarte szeregi.

Przełamaliśmy linię obrony nieprzyjaciela pod Lenino, odparliśmy jego wściekle kontrataki, wytrzymaliśmy bombardowanie dwóch tysięcy samolotów i nawałę artyleryjskiego ognia. I nie cofnął się żołnierz ani na krok! Stał niezłomnie. Ziemi zdobytej nie oddawał. Gniął na niej, ale nie oddawał już więcej!

Lenino — ponad dwadzieścia pięć procent strat ludzkich w jednostkach. Wielki to żal po kolegach, ale postawa żołnierza nie zmieniła się, żadnej apatii, żadnego zniechęcenia. Tylko chęć pomsty większa.

Świat dowiedział się, że polski żołnierz walczy i na froncie wschodnim, a póki my żyjemy — żyje Ojczyzna, żyje Polska.

O dziele, którego dokonali ci prości ludzie, piszę teraz wspomnienia. Napisałem już tysiąc czterysta stron, obejmujących okres od września trzydziestego dziewiątego roku do wiosny 1944 roku, gdy 1 Korpus przekształcił się w Armię Polską.

„Dziś, po latach, często zadaję sobie pytanie: czy postępowałem słusznie w każdej sytuacji? Czy mogłem uczynić więcej i lepiej dla Polski?... Uważam, że spełniłem swój obowiązek Polaka i żołnierza w stopniu, na jaki tylko było mnie stać. Muszę tu wspomnieć, jest to moim ludzkim obowiązkiem, a roli mojej żony, Marii, która również była oficerem, doradcą i dywizji; bez jej wsparcia moralnego, bez podtrzymywania mnie w najcięższych chwilach życia i rozterek, być może nie udało by mi się pokonać wielu trudności.

Sumując: wprowadziliśmy Wojsko Polskie na wielką arenę dziejową i rozwinęliśmy te ideały, które mają służyć wojsku. Warto dodać, że całkowite zjednoczenie celów i zamiarów nastąpiło jednak dopiero w listopadzie 1943 roku, kiedy dotarła do nas z kraju deklaracja programowa PPR, a później nastąpiło nawiązanie bezpośrednich kontaktów z delegacją Krajowej Rady Narodowej.

Zjednoczeni, choć nie bez tarć wewnętrznych — gdzie ich nie ma, gdy w grę wchodzi budowa wielkich przedsięwzięć? — weszliśmy w ślad za wojskiem i Armią Czerwoną do kraju. Ukazał się Manifest Lipcowy, dzieło środowiska lewicy polskiej, miłowy śłup na początku drogi Polski Ludowej do socjalizmu. A droga ta nie była wcale łatwa i gładka, nie brakło na niej dramatów i tragedii.

Zanotował:
Stanisław Majewski

Kamena str. 3

Co mnie zdumiało najbardziej?

ZRZECZY, które mnie ostatnio zdumiały najbardziej, wymienilibym dwie. We wsi Wilkolaz pewien rolnik skonstruował ciągnik, tak na niefachowe oko stanowiący przedwzrostowe połączenie ławy z kołami. Podwozie samolotu, może trochę przesadzam, ale nie za bardzo. Ciągnik podobno jeździ. To jedna rzecz, a drugą jest „odolot-iniegot”, który oglądałem na wystawie gospodarczej w Białej Podlaskiej podczas ostatniego zjazdu „Sztandaru Ludu”, skonstruowany przez uczniów Zespołu Szkół Zawodowych nr 1 w Radzynie Podlaskiej.

Poczucie braku i rodząca się potrzeba. Konieczność i zadośćuczynienie. Krytycyzm, który jest cechą młodości przede wszystkim, i działanie. Najbardziej autentyczne i spontaniczne inicjatywy, rodzące się przy warsztacie pracy i podczas nauki szkolnej. Pomóc, ułatwić sobie i innym.

Turniej Młodych Mistrzów Techniki ma już na Lubelszczyźnie tradycję dziesięcioletnią, zaś bilansujący go Sejmik Młodych Twórców Nauki i Techniki — ośmiioletnią. W ubiegłorocznej edycji Turnieju uczestniczyły 2972 osoby (uczniowie, robotnicy, technicy, inżynierowie i pracownicy dydaktyczni). Zgłoszono 1751 projektów wynalazczych, 56 pomysłów technicznych oraz 489 prac dyplomowych. Spodziewane efekty zastosowania projektów bilansują się wielkością 38 600 000 złotych. Do końca roku 1975 wdrożono 830 projektów.

Ta statystyka potrzebna mi do stwierdzenia, iż organizatorzy Turnieju — ZW ZSMP, OW NOT i WRZZ — idą przede wszystkim na masowość ruchu. „Rozum dziesiątków milionów twoich stwarza coś nieporównanie bardziej wzniosłego niż największe i genialne przewidywanie” — powiedział Lenin i te słowa znalazły się w referacie, wygłoszonym podczas VIII Sejmiku. Jest jednak faktem, iż o te

masowości nadal trzeba się dobijać, a szczególnie o skrócenie drogi „od pomysłu do przemysłu”. Stosunkowo najlepiej kwestia wynalazczości przedstawia się w przemyśle elektrycznym, budowlanym, w przemyśle i produkcji rolnej. A wiele tutaj jest do zrobienia, głównie w zakresie likwidacji ciężkich i niski wydajnych prac ręcznych, jak choćby procesu ładunkowego w przetwórstwie owocowo-warzywnym.

Spśród młodych wynalazców chciałoby się wymienić wielu, ale przede wszystkim mgr. inż. Henryka Tomasika, głównego konstruktora zakładów PREDOM-EDA w Poniatowej. Ten 33-letni człowiek jest współautorem 15 wynalazków, w tym 11 opatentowanych (9 wdrożono do produkcji). Ostatnio wraz z pięcioma kolegami zgłosił projekt układu sterowania i regulacji prędkości obrotowej silnika służącego do napędu robota kuchennego. Oglądam w Edzie taki robot Silnik ma kilka „biegów” w zależności od tego, czy się miksuje płyny, wyrabia pasty, odwirowuje soki, ubija majonez, rozdrabnia jarzyny, szatkuję warzywa. Cacko! To pierwsza nagroda ubiegłorocznego Turnieju w grupie tzw. projektów pozostałych. W grupie debiutów pierwsze miejsce zdobył projekt Jerzego Mleczki i Bogdana Bednarczyka z Zakładów Azotowych w Puławach — „Stanowisko do zaciskania osłon termometrycznych i termoelementów z kompletnym wyposażeniem”. Nazwa jest bardzo uczona, ale Jerzy Mleczko twierdzi, że idzie po prostu o eliminację wielu prac spawalniczych i zgrzewczych, dzięki czemu unika się braków. Na mój rozum jest to zgrabna maszynka produkująca termometry do kotłów i zbiorników parowych.

Dyskusja podczas sejmiku toczyła się w trzech zespołach roboczych i dotyczyła organizacji ruchu, współdziałania, a przede wszystkim postępu technicznego w programie wyżywienia narodu. Nie uzyskałem wprawdzie odpowiedzi na dręczące mnie od lat pyta-

nie, kiedy polskie konserwy będą łatwe otwieralne, ale i tak odnotowałem wiele spraw godnych uwagi, aczkolwiek tematy obrad roboczych wydały mi się sformułowane zbyt bombastycznie.

Powtarzał się postulat modyfikacji programów nauczania, głównie w szkołach zawodowych, pod kątem współczesnej wiedzy technicznej, lepszego dostosowania programów do charakteru szkół. „Po co wykladać równi długim tajniki budowy pracować w dziom, który pytał kto? Wniosłowano SKR” Wadzenie do szkół elementów prawa wynalazczego. W świetle prac nad programami zreformowanego szkolnictwa zawodowego (na podbudowie dziesięcioletniej) są to uwagi niezwykle cenne. Tak samo kwestia podniesienia rangi praktyk zawodowych oraz powołanie na szczeblu Kuratorium służby wynalazczej (sprawa raczej ciężka, o ile się orientuję).

Bardzo rozsądnie mówił Zbigniew Janik, absolwent Technikum Energetycznego w Lublinie, współautor pracy pt. „Urządzenie do automatycznego karmienia trzody chlewnej i drobiu” (pierwsza nagroda w grupie prac dyplomowych). Urządzenie zezwala na upust karmy z pojemnika za pomocą

elektrycznego zegara sterującego i zespołu przełączników, czas i ilość karmy dokładnie ustławiane. Nad projektem i prototypem urządzenia pracowało dwu uczniów przez sześć miesięcy. Udało się dzięki pomocy i wsparciu lubelskiego „Elektrycznego Przedsiębiorstwa Zjednoczenia Państwowego” w Lublinie, biorstwa (z...).

— w... tego rodzaju pomocy i współpracy nie stanowią reguły, wiele raczej opiera się na hobbystycznych umiłowaniach i dobrej woli. Kwestia do jakiegoś uregulowania. Tak samo miejsce i status wynalazczości uczniowskiej w obrębie warsztatów szkolnych, które przecie — z drugiej strony — mają swoje przepisy i plany finansowe, nie uwzględniające za bardzo uczniowskiej inicjatywy wynalazczej.

Najbardziej dla mnie pocieszającym akcentem VIII Sejmiku było wystąpienie pracownika POM w Bełżycach, który zadeklarował chęć współpracy z Technikum Energetycznym w Lublinie w sprawie wykorzystania maszyn do automatycznego karmienia i tak dalej. Jestem za takim konkretnym i praktycznym załatwianiem podobnych kwestii — jak to powiadają — na piśmie.

Pod



Laureat TMMT Jerzy Mleczko z Zakładów Azotowych w Puławach

Fot. Ryszard Gaska

FESTIWALE, FESTIWALE... KONFRONTACJE 2

ENTUZJAZM I WNIOSKI

Maria Bechzyc-Rudnicka

KONTYNUUJĘ zapoczątkowaną przy końcu poprzedniego odcinka pochwałę krakowskiej inscenizacji „Słubu” Gombrowicza, pokazanej na 16 Kaliskich Spotkaniach Teatralnych. I niech mi będzie wolno podeprzeć swe uwagi wypowiedziami samego pisarza, wybranych z materiału trzech programów teatralnych oraz z „gombrowiczianów” mego księgozbioru.

Przypomnijmy najpierw czym jest ów „Słub”, rozpoczęty w r. 1914, wydany w 1957 (czy 58) przez „Czytelnik”. Powiada Gombrowicz:

„Słub” jest snem. Snem Henryka, żołnierza polskiego podczas ostatniej wojny, gdzieś we Francji, w wojsku francuskim, walczącego z Niemcami. W tym śnie dochodzą do głosu lęki Henryka o rodzinę, pozostawioną w Polsce, ale też niepokoję bardziej zasadnicze człowieka współczesnego na przełomie epok.

Witold Gombrowicz mówiąc o bliskim, rozszarpił bliskie do wymiarów ogólnoludzkiego. Chodziło mu o ukazanie ludzkości w jej przejściu od Kościoła Boskiego do Kościoła Ludzkiego. Posłuchajmy definicji z „Dziennika”: „Świat mój jest porzucony Boga. W świecie tym ludzie wzajemnie się stwarzają. Uzniesienie człowieka od człowieka, ujrzenie człowieka w ciągłym

twórczym związku z innymi — właśnie o to nade wszystko chodzi pisarzowi, bo znowu mówi gdzie indziej: W „Słubie” dają się dostrzec mechanizmy nowoczesnego stawiania się człowieka i ludzkości (...). Człowiek mówi coś i przystosowuje się do tego, co powiedział. Jedno słowo rodzi drugie. Jedna scena druga. Nieustanna konieczność organizowania rzeczywistości w jakiś kształt doręczny przyswójca temu stwarzaniu się dramatu na scenie.

Zapytano kiedyś Gombrowicza, jak umiejscawia swoje sztuki wobec teatru Beckettia. Było to chyba pytanie akademickie, mające na celu stwierdzenie, że dramaturgia gombrowiczowska, przepojona lekkiem „futurologicznym” a człowieka, nie ma nic wspólnego z beckettowskim teatrem absurdu, wyrosłym z egzystencjalizmu. Nie, jeśli już komuś koniecznie zależy na jakichś analogiach w postawie, to trzeba by raczej cofnąć się w czasie i sięgnąć bardzo wysoko, kiedy „Dziennik” udościł nam taką wypowiedź o kłopotach związanych z poszukiwaniem formy na wypowiedzenie swej rzeczywistości: *Należało po prostu postawić wszystko do góry nogami, poczujemy od samych Polaków. Z Polaka dumnego z siebie, pyznącego się sobą, zakochanego w sobie, uczynić istotę jak najostrejszemu światu swej niedostateczności i tymczasowości — i tę ostrość widzenia, bezwzględność w nieukryciu i słabości, uczynić tłą... Zadaniem naszym byłoby wówczas... uzyskanie nowego podejścia do formy jako do*

czegoś, co wciąż jest przez ludzi stwarzane, a nigdy ich nie zadawca. Więcej jeszcze: *trzeba by wykazać, że wszyscy są tacy jak my, to jest ujawnić całą niedostateczność człowieka cywilizowanego wobec kultury, która go przerasta.*

Czyż nie pobrzmiwają tu echa krytycyzmu Słowackiego (z poprawką na epokę), jakkolwiek paradoksalnie wydawałoby się to skojarzenie rozważań Gombrowicza z okresem „Ferdynanda” z zawartymi w niej prześmiewkami.

Wielkie metafory w swym locie poetyckim wymykają się spod drobniogowej analizy, poszczególne znaki mogą pozostać nieodecyfrowane. Krystynie Skuszańce udało się rzecz zasadniczą: jej inscenizacja jest w ogólnym zarysie komunikatywna, bez uproszczeń. Udało się też Skuszańce uzyskanie „jakiejś prawie muzycznej jedności”, której oczekiwał od reżysera autor tego „sennego i pijanego i szalonego” — „Słubu”. Na doskonałość spektaklu składają się wymowne sytuacje, bezbłędne ustawienie postaci, scenografia Wojciecha Krakowskiego, przemysłowa do ostatniego rekwizytu — przykładem wykwinna waza „retro” na szynkwasie zasłanym gazetami (a ileż chwalił trzeba te fenomenalne, niesamowite kostiumy, zbrukane „wapnem i krwią”).

W ułamek sekundy po podniesieniu kurtyny widownia wstrząsa łoskotem rozpadającej się „ściany” ze skrzyń — walący się dom. Konstruktowa pauza... i oto dostrzegamy w ciemnościach (kon-

wencjonalnych, scenicznych, dobrze wymierzonych) leżącą tuż na proscenium postać w zniszczonym płaszczu wojskowym. Podnosi się żołnierz Henryk, główny bohater „Słubu” Zbliża się z wolną jego towarzysz obozowy, przyjaciel z lat dzieciństwa, Władzio. Następnie, w tymże temle *leste sen* kojarzy szynkwasa, stós krzesel złozonych po zamknięciu kareczny — ze starożytnym zegarem szafkowym. Rozlega się melodia „pozytywki”, towarzysząca arji Siefana ze „Strasznego dworu” — „Matko mola, mila” Szosa szynkwasa wznurza się Ojciec z kuchenną lampką naftową. Dosłownie wypelza po chwili siwa kobieta o kredowo białej twarzy, odziana w pedzną czarna sukieneczkę o posreżonym podółku. To Katarzyna — Matka. Stojąca wisi jest równoległa z „reminiscencjami” dialogu Głęboko emocjonalny klimat spektaklu przynosi na pamięć tragiczną samotność Gombrowicza, jego ogromną tęsknotę.

Znakomite pod względem artystycznym są sceny: agresji Pijaków, kontraktacji Pijaka-ambasadora z Herrymkiem-królewiczem, na „raucie dworskim”, surrealistycznie zdeformowanym. Są także świetne osiągnięcia aktorskie: Anny Latoławskiej (Maśka), Mikołaja Grabowskiego (Ojciec), Krzysztofa Jedruska (Henryk), Pawła Góli (Pijak), Haliny Wyroślik (Mania). Na trwałe wpisuje się do pamięci wrażli monolog Henryka historyczne zachęty słowem się Ignacemu mowa *Jaśnie* skamlanie Katarzyny i *przeradzające* spotworniała postać Maśki.

Zatrzymałam się dłużej (lecz jakie jeszcze niedostateczność) na pokazie krakowskiego „Słubu” gdyż było to „moje uderzenie” 16 Kaliskich Spotkań Teatralnych. Będąc z nim siła wyraża mój (i jego) spektakl „Wywołania” w słynnej inscenizacji Konrada Szwarskiego. Tej inscenizacji, zrealizowanej w r. 1974 nie będę opisywać: wielu czytelników zainteresowanych się teatrem zna i przynajmniej z beznych entuzjastycznych ocen, spo-

Roman Tokarczyk

OBOK emigrantów chłopskich przybywali do Stanów Zjednoczonych także ludzie wykształceni w kraju, zwłaszcza nauczyciele, księża, artyści i uczeni. W 1889 r. pojawił się tam Szcześny Zahajkiewicz, który jako nauczyciel szkoły św. Stanisława Kostki w Chicago z ogromną energią i zapałem krzewił polską kulturę i walczył o awans polskich emigrantów w hierarchii społeczeństwa amerykańskiego. Tuż po zakończeniu wojny domowej osiadła w USA Teofila Samolińska. Zasłynęła ona wkrótce w kręgach polonijnych jako utalentowana poetka-patriotka, autorka sztuk dramatycznych i ich przekładów, aktorka-amatorka, współtwórczyni Polskiego Związku Narodowego, a następnie idej zjednoczenia rozproszonego w Ameryce mas polskich emigrantów oraz bojownicza o społeczną emancypację kobiet.

W okresie 1860—1939 na amerykańskich scenach i estradach pojawiły się legendarne postaci wybitnych polskich artystów.

W 1877 r. przybyła do Stanów Zjednoczonych Helena Modrzejewska, aby przez wiele lat czarować publiczność amerykańską swym nadzwyczajnym kunsztem aktorskim, zwłaszcza w dramatach Szekspira.

Ogromny wkład do rozwoju amerykańskiej kultury muzycznej wniosła Marcela Sembrich-Kochańska. Była ona również wybitną śpiewaczką i interpretatorką, nauczycielką śpiewu, znaną wcześniej szeroko w Europie. Po raz pierwszy wystąpiła na scenie Metropolitan Opera w Nowym Jorku w 1883 r., a następnie od 1918 r. aż do śmierci w 1935 r. związała się z Ameryką na trwałe. W swej bogatej karierze śpiewaczki i nauczycielki śpiewu była m. in. jednocześnie dyrektorem Wydziału Śpiewu w Instytucie Muzycznym w Filadelfii oraz sławnej Szkoły Muzycznej Juillarda w Nowym Jorku.

W 1891 r. w amerykańskich salach koncertowych pojawiła się wielka gwiazda pianistki światowej: Ignacy Jan Paderewski. Jako artysta najwyższego formatu wzbudził on niespoty-

kane dotychczas w tym kraju zainteresowanie i entuzjazm muzyką pianistyczną. Wyrazem tego był finansowy sukces Paderewskiego, który podczas swych trzech pierwszych tournée po Stanach Zjednoczonych otrzymał łączne honoraria na sumę ponad pół miliona dolarów. Znaczną część dochodów przeznaczał artysta na cele związane z uzyskaniem przez Polskę niepodległości, awans Polonii amerykańskiej i rozwój muzyki.

Rozmiary powodzenia Paderewskiego przyćmiły znacznie sukcesy Jarosława Zielńskiego, zdolnego pianisty — koncertmistrza, kompozytora i nauczyciela gry na pianinie, osiadłego w 1864 r. w Stanach Zjednoczonych. Przebywał on kolejno w Nowym Jorku, Grand Rapids, Detroit i w Los Angeles, gdzie od 1910 r. był dyrektorem szkoły muzycznej. Duże uznanie uzyskali tam również: pianista Józef Hofman, przebywający tymczasowo pianista Antoni Rubinstejn oraz Henryk Wieniawski. W okresie międzywojennym listę tę wzbogacili: Artur Rubinstejn, Jan Kiepura, bracia Reszke, związani z Metropolitan Opera w Nowym Jorku, Adam Didur, Bronisław Huberman, dyrygenci — Leopold Stokowski i Artur Rodziński (organizator orkiestr symfonicznych w Cleveland i Nowym Jorku).

W kronikach związków polsko-amerykańskich odnotowana została podróż Henryka Sienkiewicza do Stanów Zjednoczonych, którą odbył on w 1876 r. Tam właśnie znalazł prototypy ludzkie swych książkowych bohaterów: Zagłoby i Podbipięty oraz inspiracje do „Listów z podróży do Ameryki” i „Szkiełko węgłem”.

W okresie międzywojennym pojawiły się pierwsze wybitne utwory literackie na temat polskie w języku angielskim, napisane przez Polaków osiadłych w Stanach Zjednoczonych. W dziedzinie prozy wyróżnili się laureatki nagród literackich: Leokadia Popowska i Monika Krawczyk. W poezji znane są nazwiska Edmunda Kowalewskiego i Alana Szymanowskiego. Odrębnego uwzględnienia wymaga ogromny wkład polskich uczonych do

historii nauki i rozwoju cywilizacji Stanów Zjednoczonych.

Liczne jest grono artystów pochodzenia polskiego, którzy zrobili karierę na polu rozrywki i filmu. Tancerka wodewilowa Marianna Michalska, znana pod pseudonimem Gilda Gray, rozpoczęła swoją karierę w wieku czterdziestu lat. Wystąpiła w wielu głośnych filmach i zaliczana jest do pionierek lansujących charlestona.

Apolonia Chalupiec, sławna pod pseudonimem Pola Negri, należała do największych gwiazd filmowych związanych z Hollywood w latach trzydziestych. Za każdy swój występ w filmie nie otrzymywała mniej, niż 300 000 dolarów.

Na liście Polaków odnotowanych w kronikach gwiazd Hollywoodu lat trzydziestych znajdujemy nazwiska Jana Kiepury, Mike Mazurkiewicza, Stasi Zwolińskiej, Stanisława Kucharskiego, Janiny Walasek i wielu innych, występujących z reguły pod zacierającymi ich polskość, ale niezbędnymi w branży filmowej pseudonimami. Ryśard Bolesławski wyreżyserował tam kilka znanych filmów oraz napisał trzy poczytne książki. Konrad J. Rasiński był dyrektorem sławnej wytwórni filmów rysunkowych należącej do Terry Toona. Oleg Łojewski — Cassini, syn Polaka i Włoszki, znany szerzej jako Cassini, projektował kostiumy dla 37 wielkich filmów sławnych wytwórni: Paramount i 20-th Century Fox. W okresie prezydentury Johna Kennedy'ego był projektantem ubiorów dla jego żony, Jacqueline.

W 1929 r. przybył do Stanów Zjednoczonych malarz Tadeusz Styka w celu wykonania portretu ówczesnego prezydenta tego kraju Herberta Clarka Hoovera. Po wykonaniu zadania namalował nadto w Glendale w Kalifornii majestatyczne, największe w Ameryce i uznawane tam za najbardziej dramatyczne w swym wyrazie sakralne dzieło „Miejsce Ukrzyżowania”. W dziedzinie rzeźby wyróżnili się artyści polskiego pochodzenia — M. Lednicka i S. Szukalski, wnosząc do historii rzeźby amerykańskiej nowe wartości.

Jan Koprowski

SKOPIE

26 lipca 1963 roku
nad ranem
w ciągu kilku sekund
runęły domy
i kościoły,
zawałiła się
przeszłość i teraźniejszość.

Ludzie zbudzeni ze snu
uciekali nadzy i bosi,
padali wśród gruzów,
ginęli.

Byłem w Skopje,
mieszkalem w „Nowej
Makedonii”,
chodziłem po ulicach,
piłem wino,
rozmawiałem z przyjaciółmi.

Nie ma ulic,
nie ma wina,
nie ma przyjaciół.

Ziemia pochłonęła miasto,
zmaszala z mapy
punkt nad Wardalem.

Pociąg, który jechał
z Aten do Monachium
zaginął.

Nikt nie widział wagonów,
pasażerów, maszynistów.

Czterdzieści stopni w cieniu.
Słońce nawet nie drgnęło
płynąc
nad morzem gruzów.

ro poznało z widzenia, odbywszy, rzecz można, pielgrzymkę do Krakowa.

W następnej kolejności pragnę odnotować dostojęstwo spektaklu Teatru Nowego w Łodzi, jego intelektualną i moralną „funkcjonalność”, a *eo ipso* — przydatność „eksportową”. Była to „Obrona Sokratesa” w inscenizacji Kazimierza Dejmki, złożonej z dwóch dialogów Platona: tytułowego i „Fedona”. Zaciekawienie kwestią, co robi reżyser w takim właściwie monodramie, dało mi asumpt do przeczytania obydwu wymienionych dialogów, a przy sposobności — „Eutyfrona” tudzież „Kritona”, razem oprawionych. Okazało się, że roboty dla reżysera-adaptatora nie brakuje, tekst bowiem, który historyk filozofii tej miary, co prof. Wł. Tatarakiewicz, odbiera jako mający żywość i jedność potocznej mowy, mógłby nieco nużyć dzisiejszego przeciętnego słuchacza właśnie na skutek obfitych „dygresji i tematów ubocznych”, a wydaje mi się — i „s sofistycznej” metody przekonywania. Tedy już sama warstwa słowna wymagała interwencji doświadczonych realizatorów scenicznych.

Seweryn Butrym w roli Sokratesa zastępuje na wielkie uznanie. Mówi do widowni spokojnie, bez gestów, chwilami z lekką ironią, wyznaje swe prawdy jak coś oczywistego.

Nobliwą prostotę scenografii Henri Poulaina widzi czytelnik na zdjęciu.

Oczywiście nader cenne było dla kaliskich miłośników teatru spotkanie z Tadeuszem Łomnickim — nie tylko ze względu na jego kreację w sztuce o Goyi, ale i dzięki ciekawej gawędzie w KMPiK, gdzie znakomity aktor i pedagog, odpowiadając na pytania liczniego audytoria, scharakteryzował założenia i dotychczasową praktykę stworzonej przez siebie nowej warszawskiej placówki kulturalnej — Teatru na Woli. Jeśli jednak chodzi o całokształt inscenizacji szlachetnej s. w. Antoni Buero Vallejo „Gdy rozum śpi...”, to wyznam (z duszą na ramieniu), że opanowały mną na spektak-

tu tzw. mieszane uczucia. Mówiłam sobie: Dlaczego Andrzej Wajda nie zrobił z tego bogatego materiału literackiego i „pikturalnego” — raczej filmu w wielkim stylu, jak to zwykły robić? Cóż by to była za uczta, gdyby Tadeusz Łomnicki wyczarowywał na ekranie genialne dzieła Goyi (żyją one w sztuce podczas lektury). Przecie Goya-Człowiek złączyłby się nierozdzielnie z Goya-Artystą, pozostającym na deskach scenicznych jedynie w domniemaniu. I po co — myślałam — to uprzykrzone od kilku lat (dziś już ariete-gardowe) wysuwanie podestów na widownię pod hasłem rzekomego teatru wspólnoty? Rezultat owych przybliżeń do widza jest ten, że pudło see-

niczne niby też zostało objęte akcją, ale w gruncie rzeczy niewiele się w nim dzieje, a gdy się coś dzieje — i tak źle widać. Z efektami dźwiękowymi (Goya słyszy — Goya nie słyszy) również było nienajlepsze. Może nawalila aparatura kaliska i należałoby oglądać przedstawienie na Woli.

Spektakl Teatru Nowego z Poznania, „Szkoła błaznów” Michela de Ghelderode, wyreżyserowany przez świetnego choreografa, Conrada Drzewieckiego, zyskał w r. ub. sporo zwolenników nawet na WST. Recenzja „Gazety Zachodniej” zapewnia, że kaliska publiczność przyjęła go ciepło. Ja osobiście — dostałam gęsiej skórki (może wobec

coraz większej aktualności dla mnie ceremonii pogrzebowych). Ale scenografia Krzysztofa Pankiewicza jest przepiękna.

Wreszcie inny Teatr Nowy — z Warszawy — pokazał kaliszanom „Advokata i róże” Szaniawskiego w reżyserii Mariusza Dmochowskiego z Mariuszem Dmochowskim w roli tytułowej. Uwielbiam dramaturgię autora „Dwóch teatrów”...

Ala czas na wnioski i postulaty, choćby na razie połowiczne (resztkę przyniesie omówienie wrocławskiego Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych).

Przed wszystkim nurtują mnie dwa pytania: primo — czy istnieje u nas jakaś określona zasada dla ustalania składu komisji wybierających spektakle na prezentacje w różnych polskich miastach, i secundo — jakimi kryteriami kierują się owe komisje przy dokonywaniu wyboru. Pozwole bowiem sobie zauważyć że już obserwacja niedawnych Kaliskich Spotkań Teatralnych sugeruje pilną potrzebę przeanalizowania powyższych kwestii na szczeblach ministerialnych. Wszakże organizatorzy festiwalu kaliskiego pragnęli w tym roku wyraźnie pokazać największych osiągnięć sezonu w skali ogólnopolskiej. Pokazu spektakli „firmowych”. Tymczasem nie wszystkie spektakle „firmowe” należały do „najlepszych”. Poza tym, oglądając zdobyte przedstawienia gościnne pod katem ich przydatności dla kultury teatralnej miejscowego społeczeństwa, wyłobry może ocenić rezultat jako... „fifth — fifth”. Warto zapobiec na przyszłość podobnym nieporozumieniom.

Drugim problemem do rozważenia w instancjach centralnych jest, moim zdaniem, sprawa nagród. Poruszymy ją w następnym odcinku relacji.



Państwowy Teatr Nowy, Łódź. Platon — „Obrona Sokratesa”. Seweryn Butrym (Sokrates) i Wojciech Piiarski (Kriton)

Fot. Andrzej Brustman

Kamena str. 5

MONTREAL

Krzysztof Janicki

równywać form dzisiejszego sportu z ich pierwotnymi zalążkami, a tym bardziej „uhelleniać” na siłę współczesnej biegni, skoczni, pływani. Ostatecznie nowożytnych festynów sprawności fizycznej nie uważa się dla ponowne (oczywiście nobliwej, oczywiście imponującej, liczącej przecież 1169 lat) imprezy greckiej, ale w samej naturze człowieka tkwi chęć okazania się lepszym. Lepszym od innych, lepszym od siebie. Jeśli „przypadkiem” trafia to na sposób zachowania się sprzed 27-30 wieków, tym milej się zapisze w świadomości humanisty. I tylko. Bo ani szlachectwo idei greckiej nie przepadło by bez przedłużenia jej w naszą współczesność, ani współczesny sport nie utracił nazwiska bez rodowodu dającego się wyprowadzić od Koroibosa.

Takie samo fifty-fifty z ideą amatorsztwa. Owszem, z anachronicznego raczej stanowiska możemy potępić wszelkie mecenasaty uwalniające zawodnika od „normalnych” zajęć życiowych, ale co się stanie z wynikami? Przecież najpełniej w duchu sportowym jest ta chęć wyselekcjonowania („wyśrubowania”) wyniku, który ma osiągnąć, przysporzyć o zawrót głowy. Dojść do „granicy” ludzkich możliwości. A że już się to nie uda bez sprawności możliwej tylko w drodze jednokierunkowej specjalizacji, to chyba winić o to same wyniki. Ze tak wysokie. Trudno i darmo. Optować dziś za czystym amatorsztwem to w ostatecznym rachunku zatrzymać poprzeczki na określonych wysokościach, na każdej pomiarowej taśmie wyrysować nieprzekraczalną kreskę. Nie czekać, że oszczęp przebiegnie „ścianę” 100 m.

Brumel odchodząc od sportu zostawił rekord świata w skoku wzwyż na wysokości 2,28. Wydawało się że rezultat spokojnie doczeka przynajmniej końca stulecia. Tymczasem kilka lat temu Macdorf „ni stąd ni ząd” podrzucił

go na 2,29. Ostatnio Stones poprawił dwukrotnie, tak więc mamy już 2,31. Czy może to nie być skutkiem działań, wśród których i pieniądze państwowe mają swój udział? Czy praca przestaje być pracą przez to, że wykonuje się ją na boisku? Zresztą sport zawodowy — tak! — istniał również w Grecji, tylko cicho. Nie w tym sensie, że tuszowano. W tym sensie, że nie robiono z tego kwestii. Czy i co otrzymuje zawodnik jako wynagrodzenie za swoją pracę o sakwę bogatego hobbysty. Po cóż zresztą ta analogia. Za „Dysk Olimpijski” Parandowski otrzymał honorarium, mimo że za „Iliadę” nie otrzymał go Homer. Ba, Parandowski otrzymał również za przekład „Odysei”, a jej oryginał był „czynem społecznym”.

Nie wiem tylko, co na ten temat powiedziałyby Piotr de Coubertin. Ale twórca olimpiady 1896 r. powołał imprezę — w porównaniu z dzisiejszym rozmiarem organizacyjnym — prawie prywatną. Nie było to w ścisłym tego słowa znaczeniu reprezentacje państw zawodnicy w większości finansowali swój udział z własnych funduszy. Gdzie tam było do 1,4 miliona dolarów, które poszły na Montreal. I proszę nie widzieć w tym żadnego porównania na jakąś niekorzyść. Po prostu różnica epok historycznych. Różnica skali zaangażowań. Wyniki idą naprzód podążają za sobą całe zaplecze działań organizacyjnych, zainteresowanie opinii społecznej, udział państw. Prasa doniosła, że szach Iranu ze swoją świtą pojedzie na XXI olimpiadę dwoma samolotami, Gerald Ford trzyma, że będzie 30 monarchów i prezydentów, że spodziewana jest obecność królowej Elżbiety (przeciw czemu demonstrowała separatystyczna partia prowincji Quebec). Służba bezpieczeństwa olimpiady liczy ponad 14 000 ludzi. 500 km na północ od Montrealu kompania wojska strzeże stalowych

pylonów podtrzymujących druty wysokiego napięcia, dla zapewnienia dostawy prądu. „Najstarsi ludzie nie pamiętają”. Montreal na czas lipca i sierpnia stanie się biegunem sportowej kuli ziemskiej, epicentrum także gorączki.

W znaczeniu prawie dosłownym. Temperatura tam dochodzi do 30°, gorące powietrze z Morza Karaibskiego niesie ze sobą szybkie zmiany ciepłoty i wilgotności, deficyt tlenu spowoduje powtórkę Meksyku. Trzeci Świat znów otrzyma niebawem handicap.

Nasza szansa? To domena Klimuszek. Bielczyk rzucił 90,78, ale Hovinen (Finlandia) 93,54. Wszola skoczył 2,26, ale wymieniony już Stones (USA) 2,31. Kozakiewicz i Siusarski przeszli 5,62, ale Roberts (USA) 5,70. Co oczywiście nie daje prognozy na Montreal. Jest jeszcze Szewińska, Werner, sztafeta jedna i druga. Ale ta przeklęta konkurencja! Kto by pomyślał, że zawodnik (Riddick, USA), który na 200 m osiąga 20,45, nie kwalifikuje się do ekipy olimpijskiej! Można zniecierpliwienie sport.

Tylko po co? Pragnienie rekordu, pierwszeństwa, „złota” jest wprawdzie zasadniczą pożywką tej gry i nie ma odejścia od dżingiu w stronę „najdalej, najwyżej, najszybciej”, jednakże pamiętać trzeba, że... Nie, nie powiem o szlachetnych założeniach sportu, o jego roli wychowawczej i znaczeniu humanistycznym, te rozumieją się same przez się. Pamiętać trzeba, że zawodnik nie realizuje się w jednym wyniku, że również niepowodzenie jest tym czynikiem psychicznym, który mobilizuje do startów następnych i następnych zwycięstw. Tu nie ma „lasciate ogni speranza”. Przegrywali najwięksi i wychodzili na czoło uparci stając się przez to wielkimi. Zwycięzca człowiek nie wynik. Sport m.in. jest występem bojerów. Ale nigdy nie był hodowlą brojlerów.

Cóż, nie jest żadnym stwierdzeniem, że co cztery lata wzrasta świetność materialnej szaty, w którą przyobleka się idea Igrzysk. Aż strach pomyśleć, co będzie w Moskwie. Każde z państw stara się wysłać najlepszy batalion na front olimpijski. Całe zaplecze — łącznie z krawieckim — jest nastawione na ten cel. Ale równocześnie musimy sobie uprzytomnić, że nie zachodzi prosty znak równania między wartościami

SONTAG

NIE zapytałem go, jak sam ocenia swoje olimpijskie szanse. Jako prawdziwy sportowiec pragnie zwyciężyć, to naturalnie. Ale szczególnie w sporcie pragnienia to jedno, a rzeczywistość to drugie. Jak będzie, przekonamy się wkrótce. W każdym razie faktem jest, że skacząc na ostatnich mistrzostwach Polski 16,81 m przekroczył minimum o 11 cm. Było to zresztą minimum określone przez polskie władze sportowe, minimum olimpijskie natomiast jest niższe, wynosi 16,40 m. A Andrzej Sontag w roku ub. skoczył już 16,96 m, co uplasowało go w światowej czołówce trójskoczków.

— Którą nogą odbija się pan do pierwszego skoku?

— Prawą, potem prawą i wreszcie lewą. Większość skoczków w dół i trójskoczków odbija się lewą — tak skacze Cybulski, tak skakał Schmidt. To wynika może z predyspozycji naturalnych, może z tego, jak się zaczęło.

— A właśnie — jak się zaczęło?

— Od uprawiania różnych dyscyplin w szkole podstawowej nr 29 na LSM. Ale wtedy wyróżniałem się szybkością w sprintach — na 100 i 200 m. Teraz setkę też biegam w dobrym czasie 10,5 sek., najszybciej z polskich trójskoczków. Potem, już jako student, w skoku w dół osiągnąłem 7,50 m, teraz skaczę około 7,70 m, co na wielu zawodach dało by mi pierwsze miejsce. W skoku wzwyż mam 190 cm. Trójskok zaczął się przypadkowo: na jakichś zawodach mistrzowskich w Lublinie AZS nie miał żadnego reprezentanta w tej dziedzinie i dałem się namówić. Osiągnąłem zupełnie przyzwoity wynik — 14,60 m, a chociaż należałem do AZS, byłem jeszcze uczniem technikum geodezyjno-drogowego. W tym

samym roku 1969 ustanowiłem rekord Polski juniorów młodszych — 14,97 m. — 37 cm w jednym roku to duży postęp...

— Miałem już znacznie więcej — 83 cm w sezonie 1972/73, w tej dziedzinie wyprzedza mnie tylko Kubańczyk Herrera, który w ciągu roku zyskał 87 cm. Może powtórzyłbym ten wynik, gdyby nie to, że mam kłopoty z kolanem. Badania i prześwietlenia nic nie wykazują, a jednak jego zakres działania jest zmniejszony.

— Jak wygląda pański skok przy np. wyniku 16,50 m? Chodzi mi o technikę i różne uwarunkowania.

— Mam najdłuższy w Polsce rozbieg — 43 m, o 4-5 m więcej od kolegów. Przy silniejszym wietrze jeszcze wydłużam jakieś 20-30 cm. Chodzi mi o nabranie możliwie największej

szybkości. Skok muszę wykonać w ciągu dwóch minut po sygnale sędziego. Jeżeli sędzia zobaczy, że w czasie lub tuż po biegu porozumiewam się z kimś w sprawie trafienia na belkę, mogę być dyskwalifikowany, stąd konieczność dokładnego wymiernia rozbiegu. Biegając, nie widzę belki, nawet jej nie czuję nogą. Pierwszy skok ma około 6 m, drugi 4,5 m, reszta przypada na trzeci. Wyciągając nogi możliwie najdalej do przodu, równoważę ciałem rękami wyciągniętymi także do przodu oraz napięciem mięśni brzucha.

— A trema! Napięcie na zawodach, zwłaszcza gdy konkurent skoczy dalej niż pan!

— Tremy raczej nie odczuwam, napięcie tak. Dobry wynik konkurenta nie deprymuje mnie, odwrotnie, mobilizuje do jeszcze lepszego wyniku, co zresztą nie zawsze się udaje, ale to już inna sprawa.

— Czy zawody bardzo pana wyczerpują? Po mistrzostwach Polski przyjechał pan do Lublina na jeden dzień, w którym odbył się normalny trening,

a potem na trójmecz Polska-Wielka Brytania-Kanada. To bardzo męczące.

— Trójskok należy do najcięższych konkurencji lekkoatletycznych. Nasza konkurencja po skokach o tyczce należy do najdłuższych. W czasie zawodów tracę na wadze około 2 kg. Ale organizm jest już do tego przyzwyczajony i wracam do normy po czterech dniach. Przy wzroście 183 cm normalnie ważę 78 kg. Trening to ciężka harówka. M. in. muszę wykonać 5 przysiadów, mając na ramionach sztangę z ciężarem 160 kg. W czasie tego ćwiczenia, podobnie jak w czasie skoku, pracują głównie mięśnie nóg i pleców. W czasie samych zawodów nie używam ani cukru, ani żadnych napojów. Normalnie przerwa między jednym, a drugim zawodem dla trójkoczka powinna wynosić dwa tygodnie, chodzi o pełną regenerację fizyczną i psychiczną. Jeżeli startuje się częściej, to dwa razy z rzędu raczej się z dobrymi konkurentami, nie wygrywa.

— Kiedyś dużo mówiono na temat nowego typu kolców, używanych przez zawodników amerykańskich.

— Teraz przepisy są jasne, na śródstopiu można mieć najwyżej 6 kolców. Amerykanie mieli nawet po 60, podeszwa była jak szczotka, ale osiągnięte przez nich wyniki zostały wyważone z tabel rekordów. Teraz wielu trójkoczków stosuje kolki proste, ja po starciu stojówkowe, które nieco mogą grzeznąć. Jeżeli tartan jest cienki, ale przed olimpiadą nie mogę zmieniać, noga jest przyzwyczajona do starożytności.

— Właśnie — olimpiada. Co według pana jest dla sportowca ważniejsze: rekord świata czy złoty medal olimpijski?

— Najlepiej jedno i drugie równocześnie. Ale jeżeli już wybierać, to ja wolałbym medal olimpijski. Rekord — życiowy, krajowy, kontynentalny czy światowy — można ustanowić na każdych zawodach, a więc w ciągu roku kilkakrotnie. Olimpiada zaś odbywa się raz na cztery lata, okazja zdobycia medalu olimpijskiego jest znacznie rzadsza, nie mówiąc o oprawie zewnętrznej, obywatelowej konkurencji itp.

— W naszej ekipie olimpijskiej jest aż trzech trójkoczków, dlaczego?

— Wszyscy przekroczyliśmy polskie minima i to jest maksymalna liczba



Andrzej Sontag w skoku na mistrzostwach Europy w Rzymie (wrzesień 1974 r.), który przyniósł mu brązowy medal (I — Sanlejew, ZSRR, 17,23 m, II — Corbu, Rumunia, 16,67 m., III — Sontag, Polska, 16,61 m.).

sportu światowego, a próba, jaką jest olimpiada. Składają się na to dwa powody. Pożądanie wzmożonej odpowiedzialności, więc i napięcie nerwowe zawodnika, kiedy znajduje się na olimpijskiej scenie i klimat kraju, który dla większości walczących nie jest klimatem ojczystym.

Ale na ekranie telewizyjnym tego nie widać. Widać zmieniające się metry odległości między biegającymi i każdy z nas nie, tylko pragnie, by ta zmiana wychodziła na korzyść naszym. Uczucie uzasadnione, ale trochę bezlitosne. Bezlitosne jest to „musisz”, wypowiadane niemo do głębi serca przez około 15 milionów pod adresem tego jednego, który ma przeciw sobie jak na złość samych najlepszych z całego świata. Jeśli chodzi o mnie, ze współczucia opadam z sił bardziej niż zdublowany zawodnik. Współczucia nie tylko pod adresem tego zdublowanego, on może być już przymusowo szczęśliwy, „ma już z głowy”. Pod adresem także wygrywającego. Licho wie, czy na ostatniej prostej nie zawiedzie go zbyt ofiarnie rzucony wydatek sił i nie wyprzedzi go aż trzech, podczas gdy wycelowanie na drugą pozycję mogło się stać realne? Tego na ekranie TV nie widać. Wątpliwe nawet czy widać na filmie „Samotność długodystansowca”, który kiedyś — ile to olimpiad temu — był nakręcony dla pokazania psychologii sportu.

Również i z tych powodów Jeux Olympiques to wspaniały teatr. Tekst jest, dekoracja jest, od razu na premierę przychodzą najlepsi aktorzy. Trochę ich znamy, ale pod wpływem nastroju oczekujemy rewelacji przekraczającej zakres spodziewania. I co, nie zdarza się? Tyle już wymieniliśmy, a nie padło nazwisko Beama, który 8 lat temu skoczył prawie 9 metrów. Zabrakło tylko 10 centymetrów. Inna rzecz, że nigdy się więcej od tego nie zbliżył, ale taki wynik warto okupić nawet później dożywciami porażkami. Jesteśmy przygotowani na wiele, mimo to ta pozycja w tabeli rekordów z pewnością doczeka się sędziwego wieku.

Montreal z zapowiedzi stał się faktem. I nasza myśl już jest po starcie. Ruszyła trasa olimpijskich wydarzeń uczestnicząc w tym dziele, które umacnia wotum zaufania do ludzkości.

zawodników, jaką może wystąpić jakiś kraj. Jeżeli nikt z danego kraju nie przekroczy minimum olimpijskiego, tego niższego, może pojechać tylko jeden zawodnik. Trójskok jest mocną pozycją naszego sportu, ale trudno powiedzieć, czy ktoś z nas stanie na podium zwycięzców. Konkurencja jest niezwykle silna.

— Jest pan jednym z 80 studentów w naszej ekipie do Montrealu. Kiedy kończy pan studia i co dalej?

— Piszę pracę magisterską w Zakładzie Historii Najnowszej Instytutu Historii UMCS na temat „Związki zawodowe w Lublinie w latach 1944—1946”. Okres przedolimpijski nie sprzyjał naturalnie pracy naukowej, ale myślę, że skończę w połowie września. Nad dalszą przyszłością jeszcze się nie zastanawiałem zbyt dokładnie, od 1 stycznia czeka mnie wojsko, pół roku w szkole oficerskiej, pół roku w jednostce.

— I wciąż jest pan kawalerem?

— Wciąż kawalerem do wzięcia, zwłaszcza po olimpiadzie.

— Jako sportowiec odwiedził pan już kawal świata?

— No tak, dokładnie rok temu brałem udział w zawodach przedolimpijskich w Montrealu. Po zdobyciu brązowego medalu na mistrzostwach Europy przed dwoma laty byłem w Brazylii. Najbardziej ucieszył mnie wyjazd do Rzymu, dla historyka była to prawdziwa uczta, chociaż czasu na zwiedzanie było niewiele. Bardzo chciałbym pojechać do Grecji, aby zobaczyć to, o czym tak wiele się uczyłem.

— Ma pan 25 lat. Ile może jeszcze potrafić pańska kariera sportowa?

— Myślę, że jakieś pięć lat, może więcej. Średnia wieku naszej ekipy do Montrealu wynosi 25,8 lat, mieszczą się więc poniżej przeciętnej.

— Czy w rodzinie ktoś jeszcze uprawia lub uprawiał sport?

— Ojciec był kiedyś mistrzem województwa w strzelaniu do rzutków oraz mistrzem Polski w strzelaniu do bażanta (sztycyjnego).

— Dziękuję i wszystkiego najlepszego.

— Mówi się: połamanie nóg.

— Tu mam jednak opory...

BUDOWAĆ KOPALNIĘ

Maciej Podgórski

MINAŁ czas, kiedy na budowę kopalni pod Bogdanką wjeżdżało się rozrytą w piaskach drogą, utwardzoną tymczasowo płytami betonu. Kiedy tą drogą, wiodącą pod skromny baraczek administracyjny wołomińskich naftarzy, codziennie ciągnęły setki niezorientowanych ludzi „do pracy na kopalni”. Kiedy pracownicy wołomińskiego Przedsiębiorstwa Poszukiwań Naftowych, główni wódcarze geologiczno-inżynierskiego etapu robót wokół dwu planowanych szybów, mieszkali przeważnie na placu budowy, w kolonii baraków przypominających nieco pojazdy cyrkowe.

Dziś na budowę skręca się w innym miejscu i wjeżdża się krótkim odcinkiem eleganckiej szosy, a przed szlabanem bramy wjazdowej legitymuje przybyśza straż przemysłowa. Plac między białymi tynkowymi, drewnianymi pawilonami porastają trawniki i kwiatki, co przypomina eksperymentalną, supernowoczesną kopalnię „Jan” na Śląsku. W tych skanalizowanych, z bieżącą wodą pawilonach urzęduje dozór, mieści się centrala telefoniczna, stolówka wydająca posiłki regeneracyjne, szatnia, łazienka, punkt opatrunkowy... Dopiero dalej krajobraz nieco bardziej kopalniano-budowlany, z którego wyrastają dwie potężne konstrukcje wież wyciągowych, a niżej urządzenia i zbiorniki węża betonowego, budynki maszyn wyciągowych, agregaty mrożeniowe...

Od paru miesięcy gospodarzem placu budowy są ekipy z myśłowickiego Przedsiębiorstwa Robót Górniczych, kierowane przez Mariana Puchajdę, głównego inżyniera robót szybowych. To oni głębią oba szyby przyszłej kopalni pilotująco-wydobywczą, im przyjdzie pierwszym dojść do lubelskiego węgla. Dopiero po wykonaniu przez nich robót zacznie się tutaj górnictwo eksploatacyjne, gdzie urobku nie mierzy się już kubkami gruzu kredowego, lecz tonami węgla. Ale na razie idzie w górę kreda, z którą zresztą inż. Puchajda jest nieźle obznajmiony, bo miał z nią do czynienia, kiedy w latach 1965—1970 nadzorował prace zabezpieczające podziemne korytarze w Chelmie. Chodzi tu zasadniczo o to, jak kreda łączy się z betonami.

Inż. Puchajda, owszem, prywatnie ze mną chętnie porozmawia, ale żadnych oficjalnych wywiadów dla prasy, gdyż robota dopiero w toku. Oba szyby będą miały ponad tysiąc metrów głębokości każdy. Na pierwszym doszli już do 255 metrów, na drugim do 47. A jeszcze ich czeka „słynna kurczawka” zaczynająca się na 585 metrze. Jak to przejdą, dopiero wtedy odetchną. A o zawodzie budowniczego kopalni, proszę bardzo, mogę w tej chwili porozmawiać z inż. Zbigniewem Stangretem, nadsztygarem robót górniczych. Summienny, oddany.

Wciąż go wytypywał do tej rozmowy. Inż. Stangret chce się upewnić. O, kruczo! Zabiera mnie, żeby pokazać budowę, i już widzę, że o sobie będzie mówił niechętnie. Chodząc za nim posłusznie po placu, oglądam urządzenia, notuję szczegóły techniczne, od których niebieskie moje oko robi się zielone. Tu windy dla lin przewodniczych, a zarazem nośnych pomostu wiszącego. Tam dźwigary technologiczne dla zawieszenia rur sprężonego powietrza, curociągu wodnego i lutniociągu, czyli „ciągu” doprowadzającego świeże powietrze na dół. Agregaty oziębiające solankę do minus trzydziestu stopni i więcej. Centralny węzeł betonowy z pulpitem sterowniczym...

Jakie tutaj są warunki pracy? Ciężkie są, bo zeskalone ily kredowe, bo ze względu na stosunki wodne górotwór musi być dobrze zamroźony i urabiać można tylko młotami pneumatycznymi, strzelanie zbyt niebezpieczne. Musi być zastosowana specjalna metoda głębenia szybów, z mrożeniem właśnie. Jak więc się w końcu pracuje? Tak w końcu, żeby było i szybko, i dobrze. Na przykład gdy się wykonało głowice szybowa, to obok równocześnie montowano wieżę wyciągową, która potem najechała na głowice i zaczęło się głębenie. Duża oszczędność czasu. Tak samo metoda podawania betonu bezpośrednio z węża

betoniarskiego wprost do kubła i na szalunek obudowy szybu. Nowością w Bogdancie zastosowana. W okresie 26 IV — 21 V br. odnotowali na swoim koncie rekord głębenia szybu w skali europejskiej — 120 metrów bieżących w ciągu 26 dni przy górotworze mrożonym!

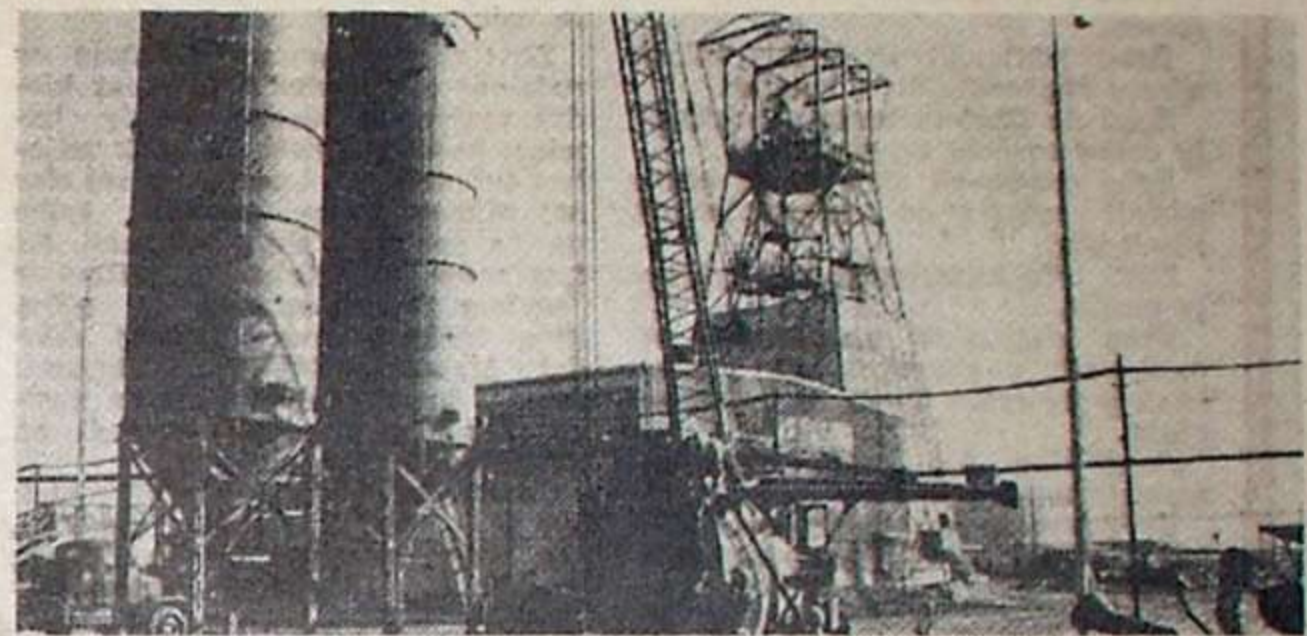
Czy to niebezpieczny zawód? Inżynier Stangret powiada, że każdy zawód produkcyjny ma swoje niebezpieczeństwa. Jego zawód oparty jest szczególnie na wzajemnym zaufaniu ludzi oraz ich wyszkoleniu. Jeden jedzie na dół, drugi steruje urządzeniem zjeżdżającym. Tu nie może być omyłki. Tu także trzeba być przygotowanym na nieobliczalność żywiołu, choćby wody. Szybka orientacja i spokój. Precyzja i wytrzymałość.

Zbigniew Stangret ma 43 lata, pochodzi ze Śląska, mieszka w Tychach. W 1953 roku skończył technikum górnicze w Bytomiu. Zaczynał w budownictwie kopalń od stanowiska nadgórnika, czyli dozorca na dole. Potem był sztygarem zmianowym, sztygarem od-

się walenie przyczynia do wychowania i opieki nad 9-letnim obecnie wnukiem. Szczególnie ja pomoc się liczyła w okresie, gdy rodzice chłopca studiowali, pracując zaradkiem.

Pytam, jak znajduje Lubelszczyznę, Lublin, krajobrazy, ludzi? Na specjalne wycieczki krajoznawcze nie ma czasu. Sprzedał w zeszłym roku „Moskwicę” po 11-letnim przebiegu, czeka teraz na „dużego Fiata”. Jak dostanie nowy samochód w lipcu, wybierają się rodzinie na urlop, wtedy może i Lubelszczyznę obejrzą dokładniej. Ale urlop raczej nad morzem lub wielkim jeziorem, bo górnik, co pod ziemią pracuje, ciągnie nad wodę, choć przy szybach w Bogdancie wody nie brak. Obecnie, to jest na początku lipca, żona inż. Stangreta przyjechała do Lublina i ze dwa tygodnie pomieszcza z mężem, uczy w szkole górniczej na Śląsku i ma właśnie wakacje.

Na co ma czas inżynier po pracy? Kiedy jest na pierwszej zmianie, do Lublina, gdzie mieszka, nie przyjeździe wcześniej jak około 19.00, a tam już



Fot. J. Polski

działowym, kierownikiem głębenia szybu, sztygarem objazdowym. Poszedł na wieczorowe studia górnicze, wraz z żoną zresztą, która poprzednio kończyła... liceum pedagogiczne. Po gliwickiej politechnice został mianowany nadsztygarem górniczym, od 1970 roku. Pracował przy budowie lub rozbudowie kopalni: „Ziemowit”, „Lenin”, „Staszic”, „Wieczorek”, „Bolesław Smiały”, „Siersza”, „Janina”. Bardzo piękną drogą zawodową, począwszy od młodego absolwenta technikum górniczego a kończąc na doświadczonym budowniczym Lubelskiego Zagłębia Węglowego, dokąd przywieziono ze Śląska najlepszą kadre.

Bezpośrednio przed przyjazdem do Bogdanki Stangret pracował — już jako nadsztygar — przy budowie elektrowni w byłym województwie krakowskim. Myślowickie PRG było tam głównym wykonawcą robót górniczych — wyrobiska komorowego dla turbin, o długości 120 m, szerokości 30 m i wysokości 40 m, oraz dwu chodników długości 800 m, wznoszących się pod kątem 37°, a służących do przepompowywania wody z jeziora do zbiornika centralnego leżącego 700 m nad poziomem morza. Ciekawostką — wyrobiska komorowe szły pod wzgórzem, z którego ongiś na filmie „Pierwszy start” wypuszczano szybówce. Na tej budowie zatrudniło się i zdobyło kwalifikacje górnicze wielu tamtejszych górali, którzy teraz pracują przy głębeniu szybów w Bogdancie obok robotników z Puchaczowa i okolic, zdobywających właśnie kwalifikacje górnicze. Okazuje się więc, że i tereny bez tradycji robotniczych mogą być potencjalnym dostarczcycielami fachowej siły roboczej, choć początkowo z dyscypliną pracy rozmalcie się układa i czasem świętowanie niedzielne bliższe niż obowiązek stanięcia na zmianie.

Sugeruję inż. Stangretowi, że zawód budowniczego kopalni przypomina nieco facha marynarza. Sami mężczyźni i do domu daleko. No tak, gdy budowa bliżej domu i ma się samochód, można raz na tydzień rodzinę odwiedzić, więc jeszcze nie tak źle, ale nie zawsze budowa bliżej domu... Musi być zrozumienie obu stron, żony i męża. Ponadto inżynier chwalił teściową, która

na niego czeka obiad ugotowany przez koleżkę, który rano miał wolne. Tak się wymieniają w tym kuchczeniu. Co jadł wczoraj? Rosół z kurczaka, ciętą z młodymi ziemniakami, kompot z truskawek. Ponadto trzeba znaleźć czas na prasę zawsze, trochę telewizji i spać.

Dojeżdża się do Bogdanki specjalnym autobusem PKS. Inżynier Stangret, podobnie jak reszta kadry i część pracowników fizycznych, mieszka w jednym z nowych lubelskich bloków, którego mieszkania przeznaczono jako pomieszczenia hotelowe dla załogi budowniczych Zagłębia. W tych M-3 i M-4 każdy ma oddzielny pokój; kuchnię i łazienkę wspólną. Lokale są wyposażone kompletnie — od wycieraczki, garnków, aż po meble, bieliznę pościelową i telewizory...

Rozmawiałem w różnych okresach czasu z ludźmi, którzy przyjechali ze Śląska budować szyby w Bogdancie. Warunki socjalne, stworzone im tutaj, określają jako przypadek bez precedensu, tak samo atmosferę szczególnej troski i przychylności. Część zakwaterowano także w ośrodku wypoczynkowym w Piasecznie, obecnie przeprowadzają się do nowo zbudowanego pięknego hotelu w Łęcznej, gdzie ponadto kilkanaście rodzin górniczych otrzyma mieszkania indywidualne w nowych blokach (do końca sierpnia), żony i dzieci przyjadą ze Śląska, osiedlą się tutaj, bo przecież w przyszłości ruszą lubelskie kopalnie i każdy fachowiec będzie na wagę złota. Słyszałem również, że syn inż. Puchajdy kończący właśnie studia górnicze, zamierza osiąść na Lubelszczyźnie.

Słyszałem w końcu zdanie, że kiedy budowniczym kopalni czegoś nie dostaje, choćby plasku na przykład, wówczas dzwonią do jednego z sekretarzy KW PZPR w Lublinie i sprawa natychmiast zostaje załatwiona. I takim trybem skutecznej i szybkiej współpracy górnicy są najbardziej ukontentowani, choć może tego się nie spodziewali.

W PIERWSZYM roczniku przedwojennej „Kameny” — od września 1933 r. do czerwca 1934 r. stale ukazywała się rubryka pt. „Pro urbe sua”, będąca nie tylko kurtuazyjnym gestem w stosunku do miasta, w którym pismo redagowano. Mowa oczywiście o Chełmie.

Cytuje „Pro urbe sua”, zamykając pierwszy numer miesięcznika, cytując jako swoisty dokument tego czasu:

Pismo literacko-społeczne w Chełmie. Komu i na co potrzebne? W Chełmie, gdzie tygodnik, wyłącznie sprawom regionu poświęcony, z trudnością wychodził. Kto będzie czytał te wiersze, których nadmier-na ilość w pierwszym numerze niejednego przestraszy? Wszak wieczory autorskie odbywały się tu zwykle wobec pustej prawie sali. Wszak recytacji Rychterówny słucha tylko młodzież szkolna. Dla kogo te informacje o ciekawszych książkach, gdy najstarsza w Chełmie księgarnia nie mogła się utrzymać. Po co ta robota?

A jednak... Na trzydzieści tysięcy mieszkańców choć pięćset nasze szpalty przejrzę, choć setka uważnie przeczy — choć pięćdziesięciu egzemplarzy nabędzie, choć dziesięciu nas zrozumie.

Więc dla tych dziesięciu. No i dla innych dalszych miast.

Ale nie tylko literatura polska czy obca na sercu nam leży. Na tej stronie w każdym numerze wolać będziemy o podniesienie kultury miasta.

Zeby biblioteki chełmskie miały więcej abonamentów i książek.

Zeby do Chełma częściej zaglądały dobre zespoły artystyczne.

Zeby miejscowi aktorzy nie marowali talentu na bezwartościowe sztuczki.

Zeby sale koncertowe nie świeciły pustką.

Zeby chełmskie recytatorki na występach publicznych nie produkowały się tylko Ujejskim i Konopnicką.

Zeby kina nie częstowały nas wysortowanymi kiczami.

Zeby szylidy wyglądały estetycznie a napisy na nich były ortograficzne.

NIEDZWIĘDZ W KOSM

Zeby miasto wystawiło na ulicach skrzynki do śmieci, gdy taki Ka-lusz, liczący dziewięć tysięcy mieszkańców, je posiada.

Zeby nie zamiatało w dzień ulic, gdy tłumy muszą wdychać mikroby.

Zeby Chełm, posiadający już basen, zdobył się i na łazienki publiczne.

Zeby... żeby itd.
Mnóstwo ważnych spraw, niecierpiących zwłoki, których obecność cierpliwie tolerujemy, musi ulec likwidacji. W rubryce tej będziemy nieustępliwie walczyć o podniesienie Chełma pod względem kulturalnym, o uczynienie z niego miasta prawdziwie europejskiego.

Walka z wiatrakami? Nie. Mamy nieplonną nadzieję, że w naszych poczynaniach nie będziemy osamotnieni.

Rzeczywistość wykazała, że była to jednak walka z wiatrakami. W drugim roku wydawania pisma rubryka umarła śmiercią naturalną, choć wyżej cytowane pragnienia rządziła skromnością.

Zbyt rzadko bywam ostatnio w rodzinnym mieście. A przecież kiedyś znałem tu niemal każdy kamień, każde drzewo. Co krok mijalem też znajome twarze. Po tej ciasnej uliczce, która zmieniła tylko nazwę, ganiałem się z kolegami. Na tym znów podwórku grywałem z Jackiem Zajęczkowskim w piłkę. Tym Jackiem, który później składał Manifest PKWN i którego dzień: arze z okazji 22 lipca zwykli niezmiennie popularyzować na lamach prasy całego kraju.

Co dzisiaj? Piątek. Kiedyś piątek był w Chełmie dniem... dziadów. Nie Mickiewiczowskich. Po prostu — dziadów. Pamiętam drewniany

talerz wypełniony dwu i pięciu — zwykle po pierwszym — groszówkami. Kiedy, lekko przeziębiony, musiałem pozostać w domu, a wypadł akurat ten dzień tygodnia, wiedziałem, że będę świadkiem dziesiątków odwiedzin. Bezzębne starszki w lachmanach, staruszkowie o kijach, ślepy, urojeni czy prawdziwi, już samym swym widokiem usilowali kruszyć serca tych, którym powodziło się lepiej. Ale wśród zebranych nie tylko o miedziany pieniądz, ale i o kawałek chleba, o zużytą odzież, widziało się też ludzi młodych. Nie dziwota.

Młodzi ludzie z uniwersyteckim wykształceniem — pisał o Chełmie lat trzydziestych Waław Mrozowski w swej książce „Cyganeria” (Wyd. Lub. 1963 r.) — chodzili po mieście od rana do wieczora, wydeptując chełmskie chodniki i czekając zmiłowania... pewnie boskiego, aby znaleźć jakieś zajęcie. Praca fizyczna? Owszem, ale i o nią nie było łatwo. W trzydziestolecie mieście znajdowało się ponad tysiąc bezrobotnych, żadnego dosłownie przemysłu. (...) Za wszelką cenę postanowiłem coś zrobić. (...) Dział Drogowy Polskich Kolei Państwowych przyjmował robotników do pracy przy zakładaniu linii telefonicznej wzdłuż toru kolejowego Chełm—Dorohusk nad Bugiem. Zgłosiłem się i dzięki znajomości kierownika odcinka zostałem przyjęty. Oczywiście z zastrzeżeniem, że praca jest ciężka, polega bowiem na kopaniu dolów i stawianiu słupów. (...) Przepracowałem sześć tygodni, które wydawały mi się całym życiem...

Lipiec 1976. W Kombinacie Cementowym „Chelm”, który dostarcza dzisiaj ok. 22 proc. krajowej

produkcji cementu, przeglądam u dyrektora Czesława Dżamana „Informator” mający zachęcić młodych do podjęcia pracy. Trudności z dopływem ludzi? A gdzie ich nie ma?

— Zatrudniamy — mówi dyrektor — 3430 ludzi.

— Przed wojną — szperam w pamięci — była już cementownia w Rejowcu.

— A wiecie, jaką miała wydajność? 120 tysięcy ton cementu rocznie. Dziś rejawiecka cementownia, rozbudowana zresztą, „Chelm I”, „Chelm II” i „Chelm III” wzbogaca kraj o prawie cztery miliony ton. Jest różnica? A produkujemy jako jedyni w Polsce Portland 450, cement szybkosprawy S2, łącznie pięć gatunków. Cieszymy się chyba dobrą opinią, skoro naszego poprzedniego dyrektora, towarzysza Józefowicza, porwało ostatnio Zjednoczenie do Sosnowca.

Inż. Kazimierz Józefowicz poznałem przed trzynastoma laty i wtedy pisałem nim w „Kamenie”. Pełnił wówczas funkcję zastępcy dyrektora Lubelskiego Zjednoczenia Przemysłu Cementowego. Opowiadał mi o swoim życiu, o tym, jak po studiach zaczął pracę w charakterze majstra w rejawieckiej cementowni, jak później awansował na głównego energetyka, by następnie dojść do obecnego stanowiska. Obecnie w 1963 r. Bo po tem z zastępcy został dyrektorem, ale i to nie był ostatni szczebel kariery... Inż. Józefowicz — pamiętam — chwalił załogę cementowni. Jego słowa potwierdza i rozwija dziś dyr. Dżaman.

W ubiegłym roku, aby do minimum zmniejszyć absencję, aby skrócić urlopy okolicznościowe, siedem brygad ZMS-okwskich pracowa-

ło w polu 52 de wszystkich kierując się...
Przy wydatku powstały domki jednorodzinne. Przewodnictwem...

Drzewa przede wszystkim krywa je biała wiatro więją chodu, a wię...

Kombinat przede wszystkim lerowie nie: żon — w nie...



TWARZE LIPCA

Dokończenie ze str. 1

osiemnastego... Co, osiemnastego wieku? A nie laska wcześniej? Te wszystkie naruszenia ziemi, przekopy, nasypy ewidentnie kojarzyły się z pracami archeologicznymi, więc miało się przed sobą najoczywistszy Biskupin, piastowski „grodziszcze”. Kto jak kto, ja wyraźnie przeżywałem kontrast między tym rozchełmianiem ludzkiego środowiska naturalnego, a charakterem zajęć, które wkrótce przyjdzie podjąć w sposób zorganizowany.

Miałem frajdę. Te parę dni bezkrólowia dały mi prawdziwe wagary, w czasie których wprowadzić należało rozglądać się za jakimś „intratnym” (nie jeszcze nie obsadzone!) zajęciem, ale też można było bezkarnie wytkać nos w miejsca do niedawna rażąca śmiercią, a tak już dostępne, bo nie zeszematycznione nie zaczęta biurokracją. Czyli tam, gdzie nie zatrzymywał już ani wartownik SS, ani jeszcze sekretarka powstającego resortu. Czy nie atrakcją buszować po apartamentach mającej się zacząć historii?

Nie było tylko bezkrólowia w polskim słowie drukowanym. Manifest PKWN skrzydłami piastowskiego orla fruwał na tablicie ogłoszeń i stał się pierwszym bestsellerem Polski Ludowej. Oglądało się, podziwiała, czytało już nie ze względu na zapowiedź przemian raczej nie zaskakujących dla przewidywań społecznych, ale jako pierwszy po pięciu latach oficjalny polski tekst będący polskim tekstem, a nie dodatkiem tłumaczenia do rozdzielnika przydziału sacharyny. Był jeszcze druk rękodzielniczy, przeważnie jednoexemplarzowy: „Pomścimy Westerplatte”, „Za Oświęcim i Majdanek”, „Na Berlin” — wypisane na lufach armat i czołgów.

Nie pamiętam już jaki cel skierował mnie kiedyś do gmachu PKWN przy ulicy Spokojnej (dziś 22 Lipca) 4. Nie wykluczone, że potrzebował czegoś ode mnie Jan Aleksander Król, wów-

czas kierownik Wydziału Propagandy Masowej, z twarzy osiemnastoletnia dziewczyna, z charakteru satrapa perski V wieku p.n.e. Wydział znajdował się w trakcie przeprowadzki i rejwach załadunku uniemożliwił mi dostęp przed jabłuskowate oblicze, ale ujrzałem tam Przybosia. Jakże zepchniętego, jakże spostponowanego zbijaniem skrzyń i przesuwaniem stołów! Czołowy poeta RP (jeszcze nie PRL) osaczony worami i wciśnięty w ką, ledwo tolerowany w urzędzie, który w normalnych warunkach miałby powód do szczególnych atencji z racji jego przybycia. Za to ja miałem skrupuły. Nie znał mnie przecież. Ale snobizm wsparty powszechnym zaniechaniem konwenansu we wszelkich okolicznościach tamtego czasu osmielił mnie do nawiązania rozmowy, którą Przyboś nawet ohotnie podjął. Mając taką okazję i takiego rozmówcę, czy mogłem rzecz ująć niżej filozoficznych podstaw współczesnej poezji, funkcji słowa w procesie opanowywania rzeczywistości, potrzeby przezwyciężenia archetypów wyobraźniowych i roli twórcy w przyszłym społeczeństwie? Solennie zdawałem ten egzamin z pozorów krytyczno-literackiej erudycji, zahaczając nawet o dziedziny nietknięte moją orientacją, byle nie obniżyć tonu tak wyjątkowej rozmowy, kiedy w obrębie zainteresowania znalazł się wiersz Przybosia „4.IV.1943”, będący wyrazem ojcowskich uczuć dla nowo narodzonej córki. Szczegół błądy, nie wart miejsca w tej relacji, ale jeśli uwzględnimy wyolbrzymiającą perspektywę oddalenia w czasie... Otóż wiersz kończy się słowami:

...Słownik liczy, myli się i liczy
na liczydło z dźwięku jej paluszki...

Przyboś spytał mnie, jak to rozumiem. Zaczęłem coś o poszerzeniu kręgu intymności pod wpływem wzruszeń, o zabarwieniu osobistym doznaniem zjawisk natury, kiedy przyparł mnie do muru o całkiem konkretne wyjaśnienie. Ze słówek klaskając nie dochodzi do dziesięciu (ilość palców) dźwięków i zaczyna od nowa. Oczywiście, że w końcu i na tę prostotę wpadłem. Tylko nie bardzo jestem pewien czy słowiki już 4 kwietnia zaczynają swą artystyczno-arytmetyczną działalność, co dla tego poety — prawie reistyt — nie może nie mieć zasadniczego znaczenia,

ale i to niech zostanie bez powątpiewającej odpowiedzi.

Putrament. Jakże charakterystyczna postać z galerii tych lipcowych. Tak zrósł się z panoramą tamtego Lublina, że kiedy później dochodziły o nim wieści z Warszawy, z Paryżów i Waszyngtonów, zawsze zdawało się, że jest na delegacji, a macierzyste miejsce pobytu to dla niego Lublin. Ale Lublin 1944! Ten, w którym kipiał garnek z zupą nowej literatury mieszanej przez Putramenta — Kucharza Wielkiego Polnego.

W swych późniejszych „Małowiernych” uczynił zastrzeżenie, że wszystkie postacie występujące w powieści są fikcyjne, że jakiegokolwiek podobieństwa... itd. Najskuteczniejszy sposób na pobudzenie domysłów. Bo z powieściowego Ligęzy aż bije rzeczywistość Borejsza. Ten właśnie antybiurokrata, antyschematysta, Raptusiewicz demokracji. Sarmata semickiego pochodzenia. Czas sprzyjał takim charakterom. Dla ściśłości trzeba dodać, że Borejsza — czemu nie — lubił sobie posamowładzać, dyktaturę proletariatu najchętniej widział we własnym wykonaniu, ale inaczej nie byłoby mowy o tej postaci. Ciekawe. W obrębie społecznego widzenia wchodzi nazwisko zupełnie nieznane i od razu staje się w nim zadomowione tak, jak kiedyś nazwisko np. Wieniawy-Długoszewskiego. Nawet.

Hirohito przysłał gejszę mówiąc: Pozdrów Borejszę — jak pisał w jednym ze swoich wierszy Janusz Minkiewicz.

Lubił także „załatwić”. Kiedy sprawa nie przechodziła przez jakieś resortowe wąskie gardło, kiedy na przeszkodzie stanęło czyjeś niezdecydowanie, albo hamujące działał brak opracowanych metod postępowania. Borejsza z szerokiej trybuny swego redakcyjnego biurka (naczelny „Rzeczpospolitej”) występował w imię rewolucyjnej śmiałości i na ogół wygrywał. W ten sposób powstała opinia, że obok resortów, urzędów i władz istnieje jakaś „druga siła”, tym bliższa sercu, że nieformalna, nie przybrana w onieśmielający autorytet, a władna. W filmach, w powieściach jest taki typ. Najczęściej w postaci lekarza. Macha ręką na konwenans, oficjalności, czasem całą administrację, ale mu się wybaczają, bo w jego rękach znajduje się coś tak nie podlegającego formalizacji, jak ludzkie zdrowie.

W końcu pomyślano o organizacji. O powołaniu Związku Zawodowego Literatów Polskich.

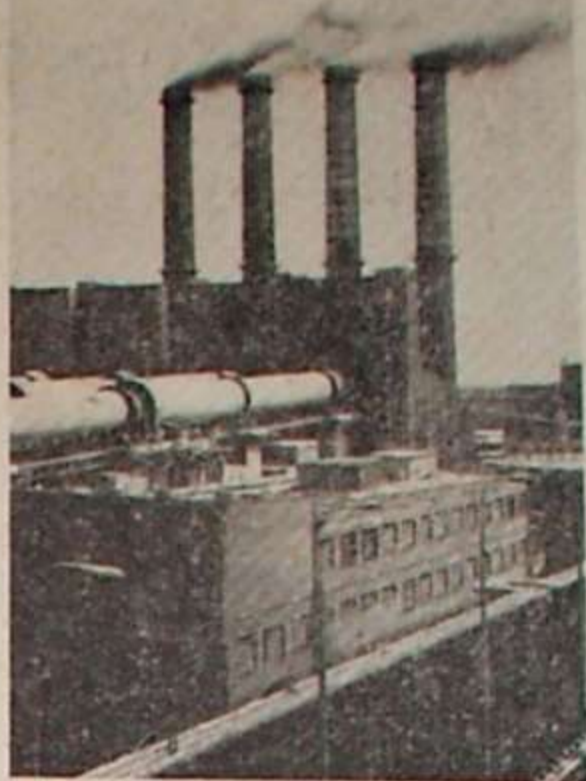
O odbyło się to trochę bienia obecności”, a potrzebny, jako że jski już nie brakuje pierw trzeba było został ogłoszony. I trzecim. Kto go wygkażde wspomnieniszczytę przemilczeludzi, którzy pamięnie mogą również z le. Otóż pyta, nie skalnej szczeliny, a rem z blekotu przymistrzini klarowno ry był autorem referwencie sala była sknalność, byleby co znaczeń choćby na Rozogniony prelegennalnego jak przekaz bel dziwolaków, ktoper-nonsensu. Wspól schowa nawet Białokord belkotu w zakrtychczas nie pobity. mocąc dłużej wytrzedwo zaciskającymi pierwszą lepszą prańalego.

Zebrań zakonuć wali wątpliwe pierwsze li z wyżywieniem nie mnie się zdawało, że skiej Akademii Literany jej członek. Jakzepamiam, ale tu trnazwisko... i jak rowgi o wierszu, proziSchulzu, awangardznie przyszło, że odbyłnansu, który przy sto na sąsiedztwo. I już kartki papieru po amnie Jan Aleksandercoś zasocjologizował wysiłki. On, autor artCzechowicza”, zamiesokropnego.

A co tymczasem bcy J. A. Król przedredaktorów naczelnychdziewski z przedwojenn

... CZNEJ RAKIECIE

Marek Adam Jaworski



Cementownia „Chelm II”
Fot. W. Anello

gi, remizy strażackie, świetlice, porządkowano place i posesje, rozbierano rudery. Później oceniono, że wartość czynów społecznych wyniosła około 9 milionów złotych.

Na licznych zebraniach ludzie rozgadali się, orosły im, jak mówi poeta, skrzydła u ramion. Przedwojenna „Kamena” marzyła o skrynkach do śmieci, a dzisiaj dyskutanci marzą o lotnisku w Chełmie. A jeden mówił nawet, że najważniejszą rzeczą jest rozbudowanie szkoły muzycznej w celu przygotowania muzyków do wielkiej orkiestry. „Bo jak mamy kopać węgiel, to górnicy muszą mieć orkiestrę. Czy sobie można wyobrazić górników bez orkiestry z prawdziwego zdarzenia?”

Lotnisko może poczekać, ale miasto ma wiele poważniejszych potrzeb. Kanalizacja. Komunikacja. A przede wszystkim mieszkania, mieszkania i jeszcze raz mieszkania. Pod koniec tego dziesięciolecia ruszy fabryka domów. Waleczono o nią z uporem, ale i z powodzeniem. W przyszłym roku zakończy się budowę obwodnicy i wiaduktu kolejowego, którego brak tak utrudnia ruch w mieście.

Wszyscy wiążą wiele nadziei z węglem. W województwie chełmskim ma powstać większość kopalni. Niektórzy już się martwią na zapas: z jednej strony Chełm będzie biały (cement), a z drugiej czarny (węgiel). Żeby chociaż w środku był zielony, jak na starym herbie. Ja też mu tego serdecznie życzę!

Prezydent miasta, inż. Daniel Han, roztacza na planie wizję przyszłości. Wkrótce Chełm podwoi liczbę mieszkańców w stosunku do lat przedwojennych. W nowy, XXI wiek, chce wkroczyć z liczbą 120 tysięcy mieszkańców. Ho, ho!

To „ho, ho” wyrwa mi się z ust teraz, kiedy sięgam do „Podręcznej Encyklopedii Powszechnej”, wydanej w Warszawie w 1873 roku. Pod hasłem „Chełm” znajduję m. in. liczbę mieszkańców miasta. Konia z rżędem temu, kto ją zgadnie!

4471. Słownie cztery tysiące czterysta siedemdziesiąt jeden. Niedźwiedziu z chełmskiego herbu, zafunduj sobie rakietę kosmiczną!

Prze-
„swoim”,
kombinatu.
Kombina-
osiedle 55
Dalsze w
widualnym bu-
zielone świat
nie są
lże się, że po-
Na szczęście
względnie z za-
runku miasta.
w zatrudnia
Kawa-
daleko szukać
wno oddanych

do użytku Chełmskich Zakładach Obuwia im. PKWN pracują przezwane dziewczęta.

Początkowo wydawało się, że gdzie jak gdzie ale tutaj nie będzie kłopotu z kadrami. Przeliczono się. Miliony złotych idą na przewóz pracowników z odległych nawet wsi, dalsze miliony — na szkolenie, choć to już uwzględniono w kosztach rozruchu.

Załoga K. kombinatu Cementowego otrzymuje listy pochwalne, a załoga Fabryki Obuwia ciągle walczy z trudnościami wzrostu, procent fuszerki jest wysoki. I o tym pisałyśmy w „Kamieniu”, i o popularnej „winlarni”, która produkuje roczną dobrą wartość ponad pół miliarda złotych — również. Pismo nie

może zapominać o miejscu swych narodził.

Jesteśmy zresztą przez Chełm serdecznie kwitowani. Opóźnienia przy budowie „Kamena” alarmuje w czołowie numeru dwutygodnik zakładowy „Cement Chełm”. Nazywając „Kamena” nowo powstający hotel, miasto w swoisty sposób uczciło tradycję literacką, piśmienniczą. Bo takiego pomnika nie ma jeszcze żadne pismo w kraju! Już teraz myślimy, jak to będzie niecodziennie, kiedy w tym hotelu ułożymy gości, którzy zjadą na pięćdziesięciolecie założenia naszego pisma. Do 1983 roku niewiele już lat pozostało!

Ale jeszcze rok 1976.

Na ulicy Lubelskiej wracają wspomnienia. Tu, na placu przed kinem, po raz pierwszy usłyszałem przed 32 laty, po okresie okupacji, chóralny śpiew „Jeszcze Polska”. W tym gmachu, koło dzisiejszej siedziby KW PZPR, znajdowała się siedziba Związku Walki Młodych. Funkcję przewodniczącego pełnił ówczesny prezydent miasta, Kazimierz Zarębski. Był starszy ode mnie o lat kilkanaście, sprawiał mi satysfakcję, kiedy do najbardziej wyróżnionej osobistości Chełma zwracałem się per „kolega”, bo taka wówczas forma w ZWM obowiązywała. Na zebrania przychodzili niekiedy starsi działacze PPR, opowiadali o swej działalności przedwojennej. To jeszcze nie była historia: front zatrzymał się na Wiśle. W lasach wokół Chełma obozowały jednostki Wojska Polskiego. Przygotowywaliśmy dla żołnierzy paczki, jeździli z występami artystycznymi.

Centrum miasta niewiele się od tego czasu zmieniło, ale już powsta-

ją plany nowego centrum, godnego stolicy województwa.

Wiadomość o nowym podziale administracyjnym kraju powitano tu przed rokiem z entuzjazmem. Przypomniano, że już w XIII wieku Chełm był stolicą księstwa halickiego, a po drugim rozbiórce Polski — stolicą województwa chełmskiego o nieco innych, niż dzisiejsze granicach. Po Kongresie Wiedeńskim miasto znalazło się w Królestwie Polskim. Zdegradowano je wówczas włączając w skład województwa lubelskiego.

26 czerwca ub. r. odbyła się pierwsza sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej. Atmosfera podniosła. Bądź co bądź sesja historyczna. Przewodniczący WRN, I sekretarz KW PZPR, Henryk Swiderski, wystąpił z wnioskiem o zorganizowanie w dniach od 7 do 14 lipca na terenie całego województwa tygodnia czynu społecznego. Propozycję przyjęto. Specjalnie powołany sztab opracował szczegółowy harmonogram działań. Prawie 50 tysięcy osób przystąpiło do pracy. Remontowano drogi, budowano chodniki, wodocią-

bie naboru, czy „ro-
zabieg niezapelnie-
na tym kawalku Pol-
wanie? No cóż, naj-
referat. Więc referat
Bomba pękła przy-
dem, ale nie powiem,
mieć intrygującą
zta jest jeszcze paru
wymienić nazwiska
o którym za chwi-
durzona oparami ze
ze napojona wywa-
palowej gorące to
młodym pocie, któ-
Jego pierwsze sek-
znać nawet za oryginal-
doszło do jakichś
domysłu. Gdzie tam,
ważał na coś tak ba-
Tworzył. Więc Ba-
turmował niebo hi-
n o pyti? Niech się
Ten referat to re-
kich doświadczeń do-
tam, jak Ważyk, nie
powstał i z ustami
h śmiechu chynał za-
zaplecza. Coś wspa-

ckich”, ale chyba miał talent do wprowadzania twórczego fermentu, skoro w redakcji tak często dochodziło do przeprosin. Pracował tam zresztą Zygmunt Kałuziński pisujący pod pseudonimem ... Jana Szczepańskiego i jeszcze kogoś, a Ryszard Matuszewski przez pewien czas usiłował przeprowadzić reformę rolną na polu swej działalności krytyczno-literackiej. Rzecz w tym, że Król w każdego umiał wdusić przekonanie o szczególnym zainteresowaniu dla podorywki oraz siewu poplonów na stanowisku pszenno-buraczanym. Dziś może wzbudzić lekkie uśmiech to filozofowanie intelektualistów na wiejskie tematy, ale był to czas, kiedy czekać na szewców często znaczyło chodzić boso, więc nie dziwnego, że do szycia butów angażowało się także pasamonników.

Anna Kamińska z całej „lubelskiej grupy” najwcześniej doczekała się „zbiorowego wydania”, to znaczy kilku wierszy umieszczonych razem, opatrzonej notą biograficzną i fotografią autorki. Przyniosła kiedyś artykuł o Czechowiczu, ale tylko z tym rezultatem, że uściskała ją (Kamińską) Pleśniarowicz, natomiast tekst nie wszedł na szpalty jako zbyt elitarny i nie związany z aktualnymi wydarzeniami. W ogóle „lubelską grupę” uważało się trochę za przedstawicieli, a właściwie epigonów formalizmu, tłumacząc to wpływem okupacji, która przez odcięcie od świata narzuciła prolongatę wątków dwudziestolecia.

W wyzwolony Lublin sypnęło nazwiskami z pierwszej linii polskiej literatury, mieliśmy więc możliwość konfrontowania wyobrażeń z rzeczywistym wyglądem postaci. Otóż Ważyk. Przed wojną widziałem jego zdjęcie w pewnym piśmie. Modna marynarka w kratę, wyraz twarzy uformowany zaangażowaniem w aktualność — nie, tylko nowoczesny intelektualista o pokroju tenisowym. Tymczasem w naturze zdecydowana antyteza goliatowych banalności: szczupła postura, niski wzrost, drobny kroczek — wszystko razem w idealnej zgodzie z żarcikiem

Sędząc z wierszy, tuszy, tworzy
to pan Adam Niczieważyk

Nawet futał pistoletu nosił wypchany papierem, jakby na dowód, że oręż poetycki jest innego charakteru niż konwencjonalna broń militarna.

Jastrun? Obowiązkowo peleryna. Krok — o, nie — nie modulowany, naturalny, spontanicznie trafiający w falowanie sukna, co niepodważalnie poszerzało diapazon spojrzeń na ciągłość epok

historycznych. Wszyscy inni biegali, zaglądali, uzgadniali. Jastrun był. Rzadko później spotykałem taki brak odruchu na atak aktualności. Jedynym pokojem, który odwiedział w gmachu przy Krakowskim Przedmieściu 62, był lokal redakcji „Odrodzenia”, ale i tam przychodził jak ktoś do kawiarni nie mający zamiaru napić się kawy. Tylko wypalić papierosa.

Natomiast oprócz Putramenta persona czynna, słyszana, niewyczerpana w słowie mówionym to oczywiście Zofia Bystrzycka. W jaki sposób pełniła funkcję korektorki „Rzeczpospolitej”, pozostanie tajemnicą linotypistów. Nie widziało się jej poza zajęciem ostrego ostrzeżliwania każdego przybyłego huraganowym ogniem elokwencji. Kto tylko pojawił się w redakcji „Odrodzenia” (tam przebywała), musiał przejść ten chrzest bojowy, przed którym nie chronił nawet udział w bitwie pod Lenino.

Sandauer przychodził milczeć. Nie widziałem go poza żółtym prochowcem zwisającym luźno i nadającym całej sylwetce wygląd pielgrzyma. Chodziło mu tylko o książki. Pożyczał je z redakcyjnej biblioteczki nie wiem przez kogo i w jaki sposób w tym pośpiesznym czasie zaimprovizowanej.

Jeszcze mniej o Tadeuszu Peiperze. Nosił jakąś torbę na pasku przewieszonym przez ramię. O więcej proszę nie pytać. Nie odpowiem w jakim stosunku pozostawało to do „Zwrotnicy”, „Nowych ust” i układu rozkwitania.

Stanisław Jerzy Lec! Ileż karnych raportów czekałoby go w regularnym wojsku za ten po partyzancko noszony szynel! Uważał dzień za stracony, jeśli nie przyszedł pokpić z... Jerzego Pietrkiewicza. Co mu zawinił najortodoksyjniejszy z autentystów, autor najlepszych metafor o poskrzypanych językach i rzeczywistym utalentowaniu poetyki pejzażysty? Z pewnością niewiele, bo i sarkazm Leca miał swój tłumik, chodziło chyba o ćwiczebne praktykowanie dźwiępu, jak odrabia się gamy i palcówki niekoniecznie będąc w nastroju szczególnego poruszenia muzycznego.

(Ale Lec, Lec. Doprawdy nie wiem, jak z autora całkiem sobie miłych wierszy na tematy partyzanckie wyskoczył aforysta, przy którym Chamfort i Rochefoucault to co najwyżej sympatyczni wujaszkiwie na niedzielnym obiedzie. Gdzie im do tego skomprimowania treści, któ-

re aż rozsądza słowo, wybucha reakcją łańcuchową znaczeń. Zaskakująca oczywistość — oto czym są „Myśli nieuczestane”. No tak, spotykalem „wymagających intelektualistów”, dla których są one zbiorem powierzonechnych bon-motów, tak jakby elegancki ubiór nie mógł być czymś więcej, niż dowodem towarzyskiej ogłady. Te umysłowości z żurnala. U mnie Lec stoi na najwyższej półce. Jaka radość, że istnieją książki w jednym zdaniu!)

Grzegorz Jaszunski zawsze miał coś nagłego z Polpressu do radia. Tak nagłego, że na trasie łączącej te dwie instytucje, oddalone od siebie o całe 25 m, nie zapisał się żadnym charakterystycznym szczegółem, a tylko tym pośpiechem, od którego chyba zależało wcześniejsze rozpoczęcie ofensywy na Berlin. Albo osiągnięcie wiadomości w poniedziałek o wynikach konferencji mającej się zacząć we wtorek tego samego tygodnia. Był kiedyś taki ktoś w Polsce, nawet spoza klanu dziennikarzy. O Karolu Irzykowskim krąży anegdota, że na polemiczny artykuł wydrukowany 1 stycznia odpowiadał 31 grudnia poprzedniego roku.

Post scriptum.

Daruj, Łaskawy Czytelniku, fragmentaryczności tych wspomnień. Czy mogę donieść o wszystkim? Czy byłem na wszystkich schodach, nacisnąłem wszystkie klamki, znalazłem się przed wszystkimi biurami tego 1944 roku? Relacjonuję w rozmiarze własnych doświadczeń. Ale i tych nie brakowało, jeśli komu organ wzroku i sluchu zachował się jak później Kruczkowski w stosunku do „Grzechu” Żeromskiego, to znaczy depisywał. Wiadomości dochodziły się w powietrzu. Wystarczyło być, by być poinformowanym. Kartezjusz, gdyby wtedy żył, nie potrzebowałby się powoływać na fakt myślenia. „Styszę Putramenta, więc jestem” — przeszłoby do historii.

Post post scriptum.

To tylko migawki z filmu pamięci. Osoby, zdarzenia, dni. A było ciepło, było słonecznie, było świetliście. Żołnierze w helmach nosili włosie. Przy harmonii wychadła na bierieg Katiusza. Oka wpadała do Wisły. Czas był młody. Stawania się. Ten lipiec był Lipcem.

Zygmunt Mikulski

Pacjent już chodzi ale z laską

Jerzy Dostatni

PRZEDSIĘBIORSTWO Konserwacji Zabytków w Lublinie nigdy nie mogło sobie za pracować na dobrą opinię, jeżeli chodzi o wykonawstwo. O ile zupełnie dobrze spisywały się różne pracownie specjalistyczne, to jakość i terminowość robót na placach budowy niemal zawsze wywoływała większe zastrzeżenia. W roku ubiegłym niewysoki, bo wynoszący zaledwie 30 mln zł plan produkcji podstawowej został wykonany tylko w 80 procentach, a na najważniejszym placu budowy, w Zamościu, zaledwie w 64 procentach.

Do tak fatalnego wyniku przyczyniły się w pewnym stopniu trudności obiektywne, np. brak zaplecza technicznego czy kłopoty ze zdobyciem różnych materiałów budowlanych. Ale głównych powodów szukać należy w złej, bardzo złej atmosferze, jaka wytworzyła się w kierownictwie przedsiębiorstwa. Jeszcze raz okazało się, że dyrektor musi posiadać nie tylko dobre intencje, nie wystarczy nawet kwalifikacje techniczne czy ekonomiczne. Najważniejsza jest umiejętność zorganizowania pracy, zaufanie do ludzi, niewtrącanie się do szczegółów, prawidłowe rozdzielanie odpowiedzialności, zyczliwość itd.

Tego właśnie zabrakło w naszym PKZ. Wymownym dowodem tego jest fakt, że w ciągu roku odeszła z przedsiębiorstwa piąta część fachowców — mniej lub więcej dobrowolnie. Trzy procesy o niewypłacenie należnego wynagrodzenia zakończyły się sukcesem odchodzących pracowników, przy czym w dwóch wypadkach chodziło o sumy sięgające 20 tys. zł. Jednym z tych, którzy odeszli dobrowolnie (i bez procesu), był obecny dyrektor inż. Jerzy Jarzębowski, poprzedni naczelny inżynier w tymż. PKZ. Ogólna atmosfera w przedsiębiorstwie jak również brak perspektywy zadowolenia z wykonywanej pracy spowodowały odejście najlepszego na naszym terenie specjalisty od rewaloryzacji zabytków inż. arch. Jadwisi Jamiołkowskiej.

Sytuacja w Lublinie pogarszała się jeszcze wskutek niesłusznych tendencji, występujących w warszawskim Zarządzie PKZ. O tej jednostce miałem okazję pisać krytycznie przed dwoma laty, otrzymując w odpowiedzi od dyrektora dwudziestostronicowy referat, wygłoszony na jakiejś akademii, a pełen hymnów pochwalnych pod adresem owego Zarządu i jego własnym. W drugiej połowie roku ub. warszawski Zarząd zaprzagnął przekształcić się w kombinat budowlany, co m. in. oznaczało wyższe pensje dla jego pracowników, a zwłaszcza dyrekcji. Aby je nie naruszyć ogólnego bilansu wydatków osobowych, zamierzano obniżyć rangę hierarchiczną wielu PKZ w kraju. Lubliskie miało otrzymać przerobę w wysokości zaledwie 20 mln zł, co absolutnie nie gwarantowało rentowności i miało — być może — doprowadzić do przekształcenia przedsiębiorstwa lubelskiego w jakiś oddział o ograniczonej działalności. Co oznaczało by to „reorganizacja” dla czekających na renowację zabytków, nie potrzeba chyba udowadniać.

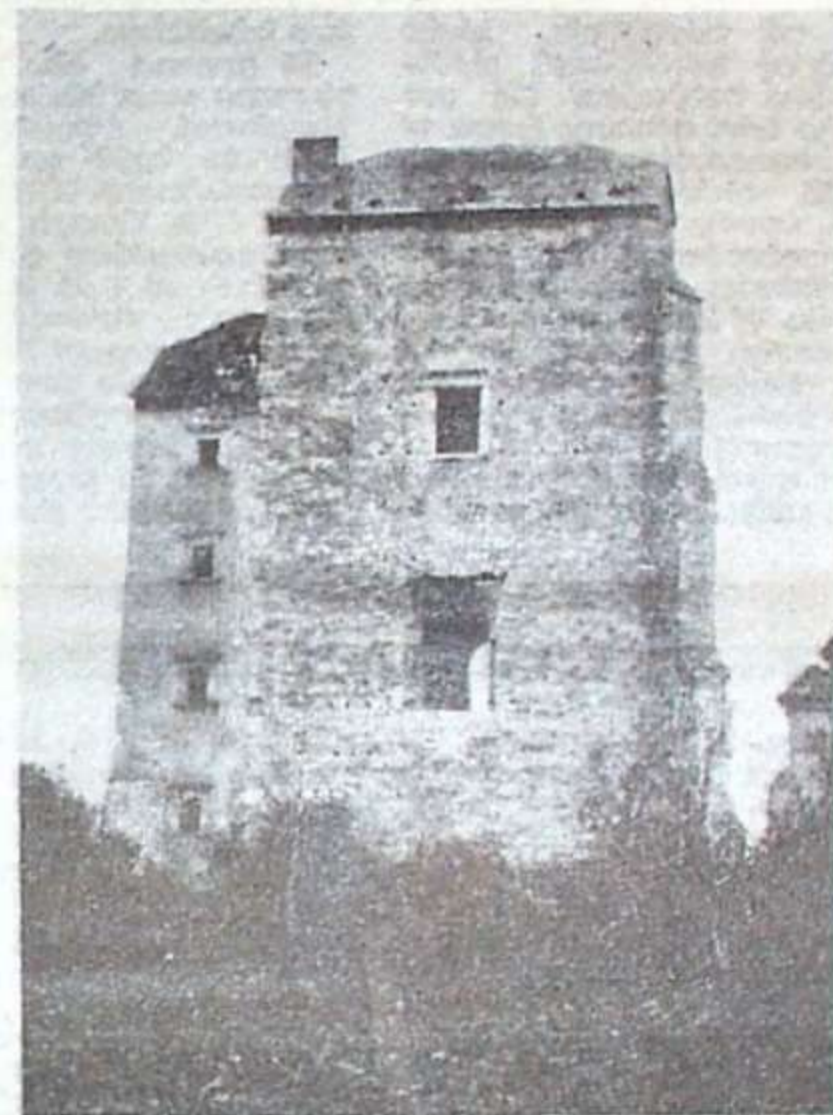
Na szczęście to wszystko należy już do przeszłości. W warszawskim Zarządzie dokonano zmian personalnych, projekt „reorganizacji” pogrzebano i należy mieć nadzieję, że nie dojdzie do jego eskalacji. Po półrocznym kierowaniu lubelskim PKZ przez delegowaną z Warszawy osobę — okres tego prowizorium nie przyczynił się do polepszenia sytuacji w przedsiębiorstwie — zaczął się nareszcie okres stabilizacji. Jak powiedział mi jeden z pracowników: pacjent już chodzi, ale jeszcze o laskę.

Tegoroczny plan produkcji podstawowej lubelskiego PKZ wynosi 36 mln zł, a więc o 20 proc. więcej niż w roku ub. Plan za pierwsze półrocze nie został wprawdzie wykonany, zabrakło bowiem 500 tys. zł, ale nie ulega wątpliwości, że w porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego sytuacja uległa wyraźnej poprawie. Świadczy o tym chociażby przekroczenie planu ogólnego o 600 tys. zł, co zawdzięczać należy pracownikom specjalistycznym, które w okresie zimowym pracowały normalnie, w przeciwieństwie do załóg na placach budowy, gdzie mróz skutecznie hamował wiele robót. Wyraźnemu polepszeniu uległy też wskaźniki ekonomiczne przedsiębiorstwa. (Tu muszę na marginesie wyznać, że posprzeczałem się nieco z kierownikiem działu planowania, który wskazywał na prawidłowe relacje między wydajnością pracy, zatrudnieniem a funduszem plac. Tak, relacje były prawidłowe w całości, ale dokładniejsze wejście w poszczególne grupy pracowników ujawniało nie

zawsze prawidłowe relacje w tych grupach. Kierownik działu planowania niewątpliwie zdawał sobie z tego sprawę, ale nie wiedział, że dziennikarz też mógł być kiedyś kierownikiem działu planowania w przedsiębiorstwie budowlanym i nie zadowolili się wynikiem całociowym).

Najważniejszym miejscem działalności produkcyjnej lubelskiego PKZ jest naturalnie Zamość. Na Rynku znikły już głębokie wykopy, sprzed dwóch kamieni usunięto płoty — znak, że remont dobiega końca. Ale zbyt wiele nagromadziło się tam zaległości, aby można je było szybko nadrobić. Sytuacja o tyle uległa polepszeniu, że zamojska placówka PKZ uzyskała nareszcie jakieś zaplecze techniczne, którego brak do niedawna bardzo skutecznie hamował co bardziej iście zamiary. Przejęto dotychczasową bazę Komunalnego Przedsiębiorstwa Robót Budowlanych przy ul. Podgrobie, lokując tam stolarnię, kuźnię, warsztat kamieniarski i coś tam jeszcze.

Jest to jednak baza tymczasowa, stałą rozpoczęto budować przy ul. Hanki Sawickiej, ale wskutek braku limitów roboty przerwano. Tymczasem od



Wajelechów. Wieża „arińska” z XVI w. Stan przed podjęciem robót konserwatorskich

1 stycznia 1977 roku, zresztą również po pewnym kryzysie produkcyjno-personalnym, placówka zamojska ma stać się samodzielnym przedsiębiorstwem. Oznacza to znaczne rozszerzenie jej działalności, na czym tak bardzo zależy władzom zamojskim, które na 400-lecie miasta — a jubileusz wypada już za trzy i pół roku — chcą zakończyć renowację całego rynku. Nie będzie można do tego doprowadzić, jeżeli zamojskie PKZ nie będzie posiadało odpowiedniego zaplecza, a także odpowiednio kwalifikowanej kadry. Więc czas już najwyższy, aby podjąć odpowiednie rozmowy z warszawskim Zarządkiem PKZ, a może wyłożyć coś z własnej kieszeni, bo inaczej powstanie twór na glinianych nogach, do którego znów wszyscy będą mieli pretensje, co naturalnie nie wpłynie na przyspieszenie renowacji. Ponadto zarówno Zamościowi jak i Lublinowi bardzo potrzebny jest różny elektroprzet, piły do cięcia kamieni oraz kilka młotków, mogących wjechać w wąskie i pokretnie podwórka starych kamienic, bo teraz materiały trzeba tam nosić w rękach lub na plecach, co nie budzi zachwyty wśród załogi.

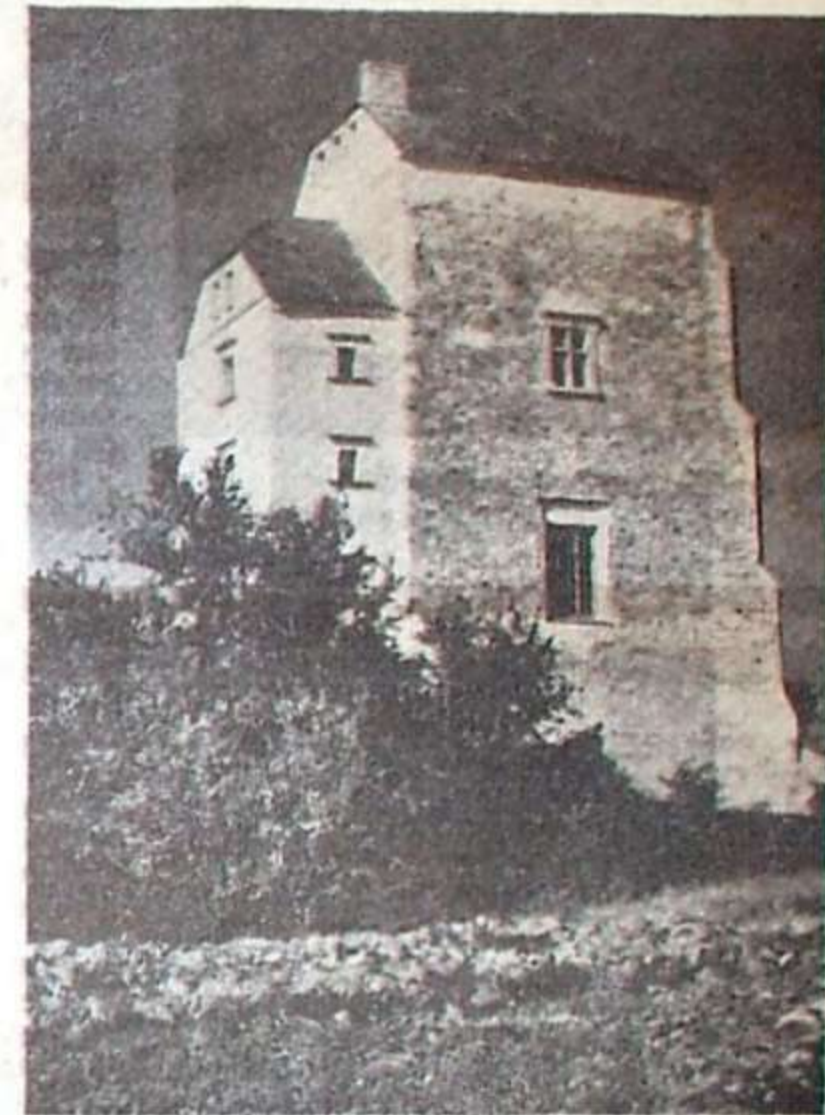
W Lublinie PKZ ma już ładną bazę na Bursakach. Okazuje się nawet, że można tam więcej zrobić, niż to obliczyli projektanci i dzięki temu warszawski Zamek Królewski otrzymuje drzwi i okna ozdobne, a konsulats francuski w Krakowie piękne kraty.

Jakoś nikt się dotychczas nie zdziwił, że lubelska Pracownia Konserwacji Zabytków nie prowadzi żadnych robót w Kazimierzu. Wprowadzić tamtejszy konserwator inż. Jerzy Żurawski próbował to kilkakrotnie naprawić, ale nie udało się, bo

wciąż brakowało owej niemal mitycznej „mocy przerobowej”. Był więc bardzo mile zaskoczony, gdy 1 lipca przyjechali do niego dyrektorzy PKZ inż. J. Jarzębowski i inż. H. Gawarecki w towarzystwie jeszcze dwóch współpracowników, proponując nawiązanie konkretnej współpracy. Zarówno jeżeli chodzi o wykonawstwo budowlane, jak i różne prace projektowe. Ta sondażowa rozmowa obracała się wokół 8 milionów zł w roku 1977, a dotyczyła również Janowca. Szczegóły są jeszcze do ustalenia, ale cieszy fakt, że do obróbki perły naszego województwa zabiorą się wreszcie najbardziej do tego powołani specjaliści.

Nie na tym koniec. Przeprowadzono także pierwsze rozmowy z dyrekcją Muzeum Wsi Lubelskiej, które na nowym terenie ma wreszcie realne warunki rozwoju. Przyszłoroczny udział PKZ w rozwoju Muzeum zamknięcie się w granicach 2-3 milionów zł, co jak na początek nie jest mało. W planie jest także renowacja pałacu w Jakubowicach Murawianych, pałacu, o którego smutnych losach kilkakrotnie pisaliśmy w „Kamieniu”, w czym wspomogli nas koledzy z „Zycia Warszawy” i „Zycia Literackiego”. Pałac ma stać się magazynem lubelskiego Muzeum Okręgowego, którego zasoby są teraz stłoczone ponad dopuszczalną miarę, w dodatku poza doraźnymi wystawami nie dostępne publiczności. Jest wreszcie w planie pałac w Kozłowie, od lat budzący wiele kontrowersji.

Tu jednak trzeba dodać małe zastrzeżenie. W dotychczasowej praktyce planistycznej Zarząd PKZ w Warszawie niezbyt liczył się z terenowymi sugestiami czy nawet żądaniem. Było to zapewne słuszne jeżeli chodzi o angażowanie podstawowych zdolności produkcyjnych podległych mu przedsiębiorstw. Ale regulowanie planu robót w najdrobniejszych szczegółach uniemożliwiało władzom terenowym ukierunkowanie chociażby części robót w zgodzie z planami terenowymi lub w ramach koordynacji kilku przedsięwzięć, zmierzających do jednego celu. Wydaje się, że po wymienionych wy-



Wieża „arińska” obecnie
Fot. PKZ Lublin

żej zmianach ta praktyka zostanie zarzucona, nie hamując inicjatywy lokalnej.

Mamy w Polsce około 40 tysięcy zabytków, wpisanych do różnych rejestrów kwalifikacyjnych. Jedni powiadają, że mimo to nie chronimy wszystkich, co wartościowe, a co pozostało nam z dawnych czasów. Inni są zdania, że to zbyt wiele, że ani państwa, ani nikogo nie stać na zabezpieczenie tych obiektów. Opowiadał mi jeden z konserwatorów wojewódzkich, że przed laty, gdy spisywano zabytki, obowiązywał przedziwny system wynagrodzenia. Na akord. Im więcej spisujący zanotował i obmierzył (zresztą prowizorycznie), tym więcej zarabiał — coś po 100 zł od sztuki. Jeżeli więc na wyjazd do jakiegoś wsi musiał stracić cały dzień, to obok rzeczywistego wartościowego zabytku zapisywał również dwa czy trzy inne, mało wartościowe obiekty — i w ten sposób doszliśmy do owych 40 tysięcy.

Nie wiem, plotka to czy prawda, ale faktem jest, że mimo wielu jeszcze potrzeb przeznaczamy coraz więcej sił i środków na ratowanie, przywracanie do dawnej świetności najbardziej cennych pomników przeszłości. Dziwi mnie tylko wciąż fakt, iż mimo niewątpliwie wysokiej rangi konserwacji zabytków, mimo że nasi specjaliści z tej dziedziny zdobyli sobie wysokie uznanie poza granicami kraju, przedsiębiorstwa konserwacji zabytków wciąż mieszczą się w dziale „drobni i różni odbiorcy”. Oznacza to ostatnie miejsce w kolejce po przydziałe do cenniejszych materiałów, a ponadto otrzymanie przydziału na papierze wcale nie oznacza jego realizacji w praktyce. Myślę, że zmiana w tej sprawie staje się pilną koniecznością. Zabytki to jedna z najcenniejszych pozycji w naszym dorobku kulturalnym, a czy konsumenci kultury to rzeczywiście „drobni i różni odbiorcy”?

Krzysztof E. Szolkowski

ELEGIA PIERWSZA

UMOWNOSC pokoju, mojej obecności, wychodzącej zewsząd jesieni, twojej twarzy, która przenikała mnie wraz z gaszącymi językami słońca;

i jeszcze splecione ze sobą nasze dłonie, uciekające spojrzenia, jakich mgliste tony, które zlewają się z ikającym blaskiem jesiennego słońca, tony o nieprzejrzystych, przebiegających w moim krwiobiegu śladach zatajonych wspomnień, doświadczonych wzruszeń, wyszeptanych razem wierszy, wymienianych uśmiechów, pocałunków, spojrzeń, naszych zagubionych kroków na bruku wąskiej uliczki nadmorskiego miasteczka, które kołyszają się teraz w locie muchy wokół zgaszonej lampy.

ELEGIA TRZECIA

POCCZĄTKOWO naprawdę wierzyłem we wszystko: w ciche szepty obracające rzeczywistość, w małą grudkę ziemi kształtem przylegającą do ręki, w nasze wymyślone przypadkiem ciała, posłuszne zmysłom, dyrygowane zachwytem i pożądaniem, którego nie mieliśmy jeszcze dosyć, w czule spojrzenia pełne ciepłego smutku i rosnącej rozterki, w smukłe gesty objaśniające wszystko, nawet w szalenie skowyt wydawany przez nasze splecione ze sobą ciała, kiedy przebiegaliśmy siebie nawzajem, mijając się zarazem.

ELEGIA PIĄTA

ZOBOJĘTNIAŁY nam wszystkie książki; ciemne, postrzępione grzbiety zawalających półki tomów, w których znajdowaliśmi kiedyś potwierdzenie nie kwestionowanego przez nikogo naszego istnienia, zaznaczonego kopiowym ołówkiem na marginesie pozółkłej strony przez z pewnością dawno zmarłego poetę, przestaly kusić nas swoją tajemniczością, która brała się początkowo z konieczności konfrontacji przelotnych spojrzeń i nie znajdującej w nich ujęcia mrocznej muzyki, jaka zapelniała się nami:

nawet wśród ciemnych skowytów Lautréamonta i trzeźwych wywodów Rilkego nie było już miejsca dla naszego rozpoczętego uśmiechu i wymyślonych na własne potrzeby ciał.

ELEGIA SIÓDMA

TO prawda; zegar, cierpliwie chłonąc wilgotny błękit naszych ogolanych z uniesień twarzy, mimowolnym krokiem doganiał nas, śledzony przez cichy szmer przepływającej krwi, która naprawdę nie była w stanie nicemu już zapobiec, nawet łezając i gardząc własnym unicestwieniem, które także nie rozwiązywało sprawy;

nie było wyjścia — zegar powoli doganiał nas i mogliśmy się tylko uśmiechać pod nosem, podziwiając w otwartym oknie wchodzące słońce.

ELEGIA DZIEWIĄTA

STRACILIŚMY wszystko, nie było dla nas zatrzymania, wspaniałe wschody i zachody słońca, które przenikały nas wywołując drżenie, śpiew ptaków usłyszany za oknem, nasza umowna miłość, ciała, które podziwialiśmy w sobie, tęsknoty i żale wypowiadane jednym tchem, przestające nas serca i smutne twarze — przechodziły zawsze obok, mijaliśmy się nawet w największym uniesieniu;

odchodziliśmy zatem w przeciwną stronę umownego świata, i tylko wysnuty z jesiennego słońca uśmiech przebiegał co chwila między nami.

W 1872 roku na łamach „Kłosów” ukazał się rysunek pl. „Sen muzyka”, którego autorem był Michał Elwiro Andrioli. Do historii przeszedł jako ilustrator „Pana Tadeusza”, sentymentalny twórca o raczej nieokreślonym obliczu. Tymczasem był to człowiek fascynujący i nieco zalosny zarazem, skomplikowany wewnętrznie, to znów prostacki, sercem przynależny do romantyzmu, lecz wyraźnie flirtujący już z nową epoką; pragmatyczną i kapitalistyczną. Często rysował Janowiec, Puławy, Bochońce oraz Kazimierz, wprowadzając nawet trzy widoki tego miasta do Wielkiej Encyklopedii Powszechnej Ilustrowanej z 1904 roku. Zachwycony Kazimierzem, patrzył na jego pejzaże na ogół z pozycji zadumanego nad przeszłością romantyka. Raz przecieź, posługując się przede wszystkim piórem, ujawnił nieco inną wrażliwość.

Urodził się w Wilnie w 1836 roku. Walczył w powstaniu styczniowym, a uwięziony — zbiegł do Londynu. Następnie znalazł się w Paryżu, skąd w 1866 roku przybył do kraju jako emigracyjny polski emigracji. Ponowne uwięzienie przedłużyło się w kilkunastomiesięczną podróż do Wiatki, gdzie Andrioli jał się malarstwa religijnego, dorabiając się liczną klientellą i sporego kapitału. Jego pierwsza biografia, spisa-

kowo czasie” — informuje wspomniany już biograf rysownika. Sytuacja większości artystów stawała się wówczas jednak podła. Sześć lat przed osiedleniem się Andriollego w Warszawie „Kłosy” opublikowały recenzję z wystawy obrazów Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskim, w której I. K. Turski — krytyk preferujący malarstwo historyczne i rodzajowe — stwierdził ulegając mieszanym uczuciom: „Mijęły czasy złote wspaniałych mecenasów sztuki; minęły bezpowrotnie (!). A lubo z ich zniknięciem zniknęła także słaba i ujemna strona przedstawicieli pióra, pędzla lub dłuta, polegająca niegdyś, że tak bez ogródki powiem, na pieczeniarnstwie pociągającym za sobą kadzidla takich „Zofiówek” lub stawianie kollarów w oliarzu”.

Andrioli miał zmysł handlowy, kupiecki, może po ojcu — Włochu, może za sprawą czasów. Okazał się prekursorem, mówiąc z pewną przesadą, przemysłu lotniskowo-wczasowego w Polsce. Oto w 1879 roku, kiedy osiadł w Brzegach, oddalonych o pół godziny drogi od otwockiej stacji kolei nadwiślańskiej, wyznał zaprzyjaźnionemu lekarzowi, Henrykowi Dobrzyckiemu: „Mam to, czegom pragnął: naturę i ciszę. W najpiękniejszym punkcie zbuduję sobie wygodny dworek, a w mia-

Kazimierz chwycił swoją żylową szansę, zachęca ludzi do odwiedzin. Andrioli wspomina, że zaraż po rozpakowaniu bagaży udał się do państwa Kaszewskich, „którzy tu od kilku (!) lat wakacje spędzają”. Inna sprawa, że Kazimierz Kaszewski, krytyk literacki, tłumacz i publicysta współpracujący z „Tygodnikiem Literackim” i „Biblioteką Warszawską”, miał w Kazimierzu brata Leona, który był tutaj proboszczem.

Cztery dni przebywał tu Andrioli, spacerując z dobranym towarzysztem po okolicy, rysując zamek, fare i zabytkowe kamienice. Opuszczając miasto poczynił znamienne przyrzeczenie: „I koniecznie tu kiedyś będę miał kawał ziemi i chatę sobie na starość zbuduję. Mało gwaru, kraj uroczy i przeszłość murowana”.

Nie za bardzo rozczuł się nasz ilustrator polskich dzieł nad zabytkami Kazimierza, żaden król mu się nie śnił. Andrioli widział płodną ziemię, słyszał ciszę, zachwalał przyjęcie w żydowskim zajęździe. Tak mocno i serdecznie związany z polską literaturą, ten rzutki człowiek ulegał fascynacjom innej sfery społecznej. Można powiedzieć, że w 1885 roku zjawil się w Kazimierzu także przedstawiciel średnio-zamożnych kupców i przemysłowców, którzy niedługo, w charakterze letników, mieli zwałić się nad Wi-

ZNAKOMITY ELWIRO

Ireneusz J. Kamiński

na przez H. Piłtrowskiego i wydana w 1904 roku, a więc w dość już napiętych politycznie czasach, zawiera mnóstwo niedomówień i eufemizmów. Oto co uczeń Andriollego pisze o pobycie mistrza w Wiatce, wystęrowany zapewne przez carską cenzurę: po burzliwych przeżyciach spotykamy artystę „osiadłego na czas dłuższy, zagospodarowanego już, pracującego wreszcie spokojnie na życie, w otoczeniu ludzi życzliwych z początku, a w końcu przyjaznych”.

W Warszawie osiadł Andrioli w 1871 roku, wynajmując zaraz pracownię w okolicy ul. Chmielnej (dziś Rutkowskiego). Dla wieczornych rysunków zawiesił nad stołem wielką lampę z „abat-jourem”, sprowadził nieco rzeczy z Wiatki, sam zaprojektował rajsbrę i zasiadł do roboty. Pracował 12 godzin na dobę, obsługując najważniejsze wówczas pisma ilustrowane, kształtując opinie publiczną i smak artystyczny czytelników. Początkowo wzorował się po trosze na precyzyjnie i drobniawo wykańczanych rysunkach Bayarda, Dorée czy Neuville, później uprościł technikę pracy: bardziej szkicował, niż czylował.

Osiągnął sukces, bo bezbłędnie trafił w gusta szerokiej publiczności. Powierzone mu ilustrowanie dzieł Stowackiego, Kraszewskiego, Malczewskiego, Orzeszkowej i Syrokomli. Ale dla potomnych „zachował się” jako autor obrazków do „Pana Tadeusza”. Poeta okazał się marszandem grafika. Andrioli wystąpił w charakterze szefa reklamy (Mickiewiczowskiej sorawy) i w tej właśnie roli przeszedł do historii. Właściwie tylko w tej. Z biegiem lat ten romantyk powtarzał samemu sobie, bez głębszego uzasadnienia stosował identyczne chwytliwy warsztatowe, w zbliżony sposób interpretował podobne tematy. Był poza tym romantykiem grubo spóźnionym, przegrwającym walke z młodym pokoleniem artystów które przenosiło do Polski nieznane tutaj idee. Chcąc ratować własną pozycję i prestiż, wyprawił się naślę w 1883 roku do Parwza, aby ilustrować m. in. „Ostatniego Mohikana” Coopera.

Andrioli naciężnie był producentem plastycznym zasakajającym precyzyjne potrzeby estetyczne rynku wewnętrznego. Z jego „fabryki” wychodził twórca, który z miejsca znajdował nabyców. Już po czterech latach nobytu w stolicy zdołał kupić niewielką kolonię Stasinów pod Mińskiem Stanislawowskim. Wydał na ten cel honorarium za ilustrowanie „Marii” Malczewskiego, nie ponadto.

„Nie będę daleki od prawdy twierdząc, że Andrioli nieraz z polskich artystów doszedł do miazgi z pracy własnej; uderzał on to fakt, tym bardziej że stała się to w kraju, nie za granicą, i w bardzo krótkim stosun-

ku, rywalizując towarzysko z gromadami malarzy. Zdaje mi się nawet, że miejscowości ta bardzo by się kwalifikowała na jakieś sanatorium”.

Wkrótce potem na 12 włókach leśnego terenu, rozciętego Świdrem, po stawil Andrioli osiem domków, a później dalsze sześć. Wynajmował je ludziom znanym i zamożnym, czerpiąc pono spore dochody z tego swoistego campingu. Poszczególne wille i dworki, obiekty dość male, nosily imiona stałych pensjonariuszy: inżyniera Janickiego, jednego z kierowników budowy kanału sueskiego; znanego aktora Królikowskiego etc. Domek samego przedsiębiorycy, mieszczący pracownię graficzną, zwał się „Mój”. Wkrótce w okolicy Otwocka licznie pojawili się naśladowcy Andriollego — wzniesiono setki willi, z których wiele stoi do dziś.

Według relacji wspomnianego lekarza zamierzal też Andrioli zainstalować nad rzeką jakoweś młyny i motory, pewne jest, że chwycal się w Brzegach za sadownictwo. Robienie interesów określało styl epoki. W jednym z ówczesnych numerów „Tygodnika Powszechnego” obok publikacji o tematyce literackiej, naukowej, artystycznej i politycznej spotykamy ogłoszenie reklamowe „Uniwersalnego Laboratorium Najnowszych Chemiczno-Technicznych Wynałazków i Kosmetyków K. Rokossowskiego w Warszawie”, polecające „siejbowlos”, preparat rzekomo „nieomylnie skutecznie działający na porost włosów na głowie”, a ponadto wstrzymujący siwiznę i zachęcający włosy do vegetacji tam, gdzie nigdy ich nie było.

Tak uformowany człowiek, znany artysta i „hotelarz”, pojawil się w 1885 roku w Kazimierzu, przywleając tu statkiem parowym z Zawichostu. Po drodze dostrzegał same „pamiatki” i dziwil się, że „jeszcze tu są lasy”. Ziemia wydała mu się żyzna.

Zajazd Lipy Rabinowicza prezentował się przeważnie, pokój, który otrzymał Andrioli wraz z żoną, świecił pono czystością i zalecał się pokaźną kubaturą. Gospodarz i cała jego rodzina wybornie mówili po polsku.

Skądinąd wiadomo, że istniała już wówczas w Kazimierzu — może nawet od 1880 roku — restauracja Berensa. Właściciela ścignęła tutaj z Opola Lubelskiego, gdzie niegdyś osiedlił jego nienieccy przodkowie, postotka o wielkich rzekomo możliwościach wzbogacenia się na letnikach. Berens, wytrawny znawca nalewek i pieczyw, „szyld umieszczył nad drzwiami wchodowymi z wyobrażeniem bialdu i podnisami (naoznaczko kościółka) oczekujące triumfujące gozecznych się pięknoznawców” — donosił „Gazeta Lubelska” z 15 września 1884 roku.

Wizyta Andriollego w Kazimierzu była etapem większej wyprawy po kraju, opisaney w następnym roku w dwóch numerach „Kłosów” w formie listów do Adama Pługa, czyli A. Pietkiewicza, redaktora naczelnego znakomitego pod względem graficznym pisma. Kilka stronice za ostatnim odcinkiem relacji, w której artysta zachwalał ciszę i naturalne uroki miasteczka nad Wisłą, znajdujemy dość ciekawą informację, wartą przytoczenia właśnie w tym miejscu. Traktuje ona o „przyrządzie elektrycznym do czyszczenia powietrza”, czyli — mówiąc dzisiejszym językiem — o elektrofiltrze; wynalazł go Anglik Lodge. „Odkrycie to znalazło niezwłocznie zastosowanie wielkiej doniosłości dla higieny zakładów przemysłowych. Wiadomo, jak szkodliwie działają na zdrowie robotników wyziewy ołowiu...” Nie można było tej plagli zlikwidować, dopiero owe przyrządy elektryczne „rozstrzygnęły ostatecznie to zadanie, tak ważne dla ludzkości”. Podobno pewien fabrykant zainstalował urządzenie w hali produkcyjnej — z dobrym podobno skutkiem...

Andrioli kilkakrotnie odwiedzał okolicę Berensa i Rabinowicza. Dzięki jego rysunkom zamieszczonym w „Kłosach” wzrastalo zainteresowanie miastem. Prace artysty stanowią zarazem cenną dokumentację ówczesnej i ginającej z roku na rok architektury drewnianej Kazimierza, uzmysławiającą nam imponująca urode atyk kamienic przy ul. Senatorskiej, które w większości uległy albo zniszczeniu, albo znacznym przeróbkom.

Dotknięty ciężką chorobą, szukał ratunku w pobliskim Nałęczowie, uzdrowisku przecieź, reklamowanym przez samego Prusa. Marzył podobno o śmierci szybkiej, zmarł po kilku tygodniach ciężkich cierpień w domku pani Krawczyńskiej stojącym przy drodze do Bochońcy, w przymionym pokoju pierwszego piętra (23 sierpnia 1893 roku). Pochowano go na miejscowym cmentarzu, przykrywając solidną płytą, która do dziś nie pokała. Zł rozrzutnie, doskonale znał się na kuchni, samą Lucynę Cwierczakiewiczową wprowadzał w tajniki przyrządzania koldunów, za którymi przepadał. Zamóżny za życia, w spadku pozostawił grosze. Kazimierz zawdzięcza mu co najmniej tyle, ile winien Voglowi.

Fragment książki o Kazimierzu Dolnym, przygotowywanej do druku przez Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe.

W SIENNICY różanej wypatruje uzasadnienia nazwy tej wsi. Tu i ów gdzie w przydomowym ogródku istotnie kwieć się róże, nie ma ich jednak w nadmiarze. Sianem natomiast zostały zapchane stodoły i stodołki, strychy nad oborami, bo łak wzdłuż obu stron rzeczki Siennica, zwanej tu Sienniczką lub Sienniczanką, niemało. Schludnie jest przed zabudowaniami, a także na podwórzach i zapleczu. No, z małymi wyjątkami. Kilkanaście chałup, wzniesionych z drewna jeszcze w ubiegłym wieku po śląsku na żrób, stoi teraz pustych. Ich słomiane dachy nadwierzeli czas, paszarpowały wróble i wrony, ale nadal dają wyobrażenie jak dawniej, albo ściślej — jak jeszcze niedawno, mieszkała tu przeciętna chłopska rodzina. Nie są to jednak obejścia opuszczone. Zwykle spoza starej chaty z małymi okienkami wychyla się okazały murańwiec. Parterowy, ale nieraz piętrowy, pyszni się swoją wysokością i wielopokojowymi wygodami. Raduje to, a równocześnie jakby czegoś żal...

Leszek Gzella w swojej „Encyklopedii Turystycznej” podaje, że w XVI wieku właścicielami Siennicy Różanej wraz z chłopskimi duszami byli po połowie Rej i Hański, chełmskie akta sądowe zaświadcza, że obaj panowie sędziłi się wtedy przez okrągłe 10 lat. Ojciec naszej literatury lubił ponoć popieniać i przed sąsiadami swoje racje z uporem przedkładać.

Dzisiejszą sielskość zakłóca jedynostajny warkot urządzeń drogowych. Robotnicy leją asfalt na zniszczoną już nawierzchnię szosy prowadzącej z Krasnegostawu do stolicy województwa, Chelma. Jak się później okaże w rozmowie z gospodarzami gminy, po sprawach czysto rolniczych jako problem najważniejszy występują właśnie drogi, zresztą z tymi pierwszymi ściśle związane.

Piękna jest nasza wieś,
Piękne tu łaki kwitnące,
Stogi siana i róże pachnące,
Taka jest nasza wieś kochana,
A jaka to będzie wieś?
Siennica Różana.

Przed wielu laty wiersz ten napisał i melodie skomponował miejscowy rolnik Jan Muda, który od 1934 roku jest kierownikiem i dyrygentem chóru, noszącego obecnie nazwę „Siennicki Dzwon”. Z początku w końcówce pieśni kryło się zwykle pytanie, po którym następowała odpowiedź: Siennicy wiciarsze przed i po wojnie, a potem ZMP-owcy i ZMW-owcy — i nie tylko młodzi — pytajnik przynosili na końcówkę zwrotki i pytali: śpiewnie: A jaka to będzie wieś Siennica Różana? Odpowiedzi doczekali, więcej — sami ją kształtowali. Według zapowiedzi wydrukowanego niedaleko i tu nazajutrz rozpowszechnionego Manifestu PKWN. Jeszcze serdeczniej przyjęli słowa lipcowe mieszkańcy sąsiedniej Siennicy Małej, w której przed wojną wielu młodych należało do Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej.

„Kamena” ostatni raz obszernie o Siennicy Różanej pisała w roku 1960. Autorka Alina Tomaszewska mogła wtedy nie tylko skwitować pięćdziesięciolecie istnienia tego samego chóru, ale i innych zespołów. Jeszcze w roku 1910 powstał chór chłopięcy, a zaraz potem męski i kapela ludowa. Dwa lata przed I wojną światową słowo polskie zaczął głośić ze scenki zespół teatralny, który

zalozył Jan Zorza. Od 1927 roku siennickich aktorów-amatorów prowadził Stefan Truszkowski, a młodsi pamiętają już Stanisława Borysa. Jan Mróz, gdy miał lat 18, do roli starego Lepiuka w „Chacie za wsią” musiał się przed wojną mocno charakteryzować, a gdy zagrał ją ponownie w wieku lat sześćdziesiąciu — już nie potrzebował. Zagrałby jeszcze i teraz, ale... nie ma już teatryku. „Ludzie nie chcą odgrywać niczego, bo mają w telewizji” i Stanisław Borys nie ma z kim pracować. Nie ma więc „Swatów”, „Macochoy”, ani „Jagusia płacze, śmieje się Jas”. Nie ma dziesiątek komedyyjek naiwnych, nie ma też

mądrych i społecznie znaczących dramatów. A przecież jeszcze przed piętnastu laty za 20 występów z „Chatą za wsią” oraz częste śpiewanie chóru wystawiono sporą część strażackiej remizy wraz z salą.

Tylko Janowi Mudzie udaje się jeszcze utrzymać trzydziestoosobowy „Siennicki Dzwon”, z którego wyodrębnił się męski sekstet. Przed miesiącem „Siennicki Dzwon” w krańickim Festiwalu Pieśni, Walki i Pracy został wyróżniony i zakwalifikowany do koncertu galowego. Na gminnej akademii lipcowego święta znowu zabrzmia: „Bo to wieś” oraz polonez „Rośnie w górę dom ojczysty”. A niedawno w Olecku na Suwalszczyźnie na krajowych eliminacjach zespołów Centrali Rolniczej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” „Siennicki Dzwon” zajął I miejsce. Patronujący chórowi chełmski WZGS ma powody do dumy.

Regina Knapowa i Irena Zaworska mówią mi, że chórzyciel chętnie występuje przed obcą publicznością. — My znamy tu naszych sąsiadów z Siennicy i okolicznych wiosek, i oni nas znają. Bardzo przyjemnie śpiewa się gdzieś daleko. Nieraz nie możemy zejść ze sceny. Publiczność nas nie puszcza, a i my sami nie chcemy, pragniemy śpiewać jak najwięcej, jak najpiękniej.

Mogą sobie zresztą na to pozwolić. W repertuarze mają ponad 30 pieśni. Szkoda tylko, że nie jest to grupa tak bogata, jak była zaraz po wojnie, gdy Józef Dzik odrodził ją w postaci Zespołu Pieśni i Tańca, a po jego wyjeździe starał się ją utrzymać w tej postaci Bolesław Proskura. Jednak coraz trudniej, mimo tradycji, o nowych śpiewaków. Autobusy codziennie rano wywożą do Chelma i Krasnegostawu około 300 osób do pracy. A ilu uczniów do szkół? Dobra komunikacja pozwala wielu spośród młodych pozostawać w obu tych miastach do późnego wieczoru, spędzać tam dni wolne i niedziele.

Józef Juzwyszyn — I sekretarz Komitetu Gminnego PZPR i Ryszard Stasiuk — naczelnik gminy w rozmowie wykazują, że problemy kultury w gminie nie są im obce, ale chętniej nawiązują do problemów trapiących ich nieodświętnie. Zamiast 1400 ton zboża

akupiono na tym obszarze tylko 1100, w żywcem osiągnięto IV lokatę w województwie chełmskim, ale tylko dzięki istnieniu Spółdzielni Kółek Rolniczych w Siennicy Dużej, natomiast gospodarze indywidualni hodowlę obniżyli. Zespół kontrolny odkrył 36 ha źle wykorzystanej ziemi, ale natychmiast ją zagospodarowano. Problem jednak będzie narastać. W najbliższych dwóch latach trzeba będzie przejąć za rentę 1100 ha ziemi, która nie ma spadkobierców chętnych ją uprawiać. Spółdzielnia produkcyjna w Zagrodzie, która już gospodarzy na 700 ha takiej roli, będzie musiała przyjąć nowe pola — z samej Za-

mych plantatorów. Czy partycypij i młodzieżowy już dwukrotnie realizację tych zamierzeń przybliżył, te efekty wpłynęły na zwiększenie wkładu społecznego rolników zainteresowanych wiosek. Rezultaty ma dokonać Rejonowy Zarząd Dróg Lokalnych w Krasnymstawie, na którego konto wpłynęło już z różnych źródeł prawie 5 mln złotych Radni i ojcowie siennickiej gminy przede wszystkim troszczą się o to, jak podnieść wydajność zbóż, hodowlę, nie zmnarnować ziemi starych rolników i zbudować drogi.

Gminna Biblioteka, kierowana od 23 lat przez Władysława Dzika, potrafiła pozyskać sobie 1200 czytelników. Rywalizacja sprzed lat sprawiła, że odpowiedni budynek do działalności kulturalnej wzniesiona w czynie społecznym w Siennicy Małej. Teraz po kapitalnym remoncie powstaje tam Gminny Ośrodek Kultury. Młody dyrektor tej placówki, a zarazem przewodniczący Zarządu Gminnego ZSMP — Andrzej Madejek, zasypuje mnie dziesiątkami zamierzeń, rozszerzającymi znacznie zakres działania Wiejskiego Domu Kultury. Jeżeli tylko połowa z nich się spełni, siennicki chór nie będzie pełnił smutnej roli ostatniego Mohikanina. Zresztą i on zyskuje narazie stale miejsce do śródowych prób w uruchamianym właśnie Gminnym Ośrodku Pracy Ideowo-Wychowawczej.

Tuż za rzeczką, równoległe do Siennicy Różanej, leży Wola Siennicka. Siłami tych dwu wsi można by wiele uczynić, gdyby zespolić się lepiej w działaniu. Buduje się tam przy remizie świetlicę, podobnie w Zagrodzie i Barakach. Takie świetlice mają już Stojto, Maciejów, Kazieniec i Zdzanne, w Wierzchowinach i Rudce zbierać można się w szkole, tylko Kolonia Zwierzyniec i Boruń nie mogą młodym zaofiarować nawet wypożyczonej izby. W wymienionych wioskach powstają nowe koła ZSMP, aktywizują się stare, ożywa Zrzeszenie Ludowych Zespołów Sportowych i ma nawet pierwsze sukcesy. Siędemnaście sprawdzonych już gdzie indziej muzyków chce sięgnąć po instrumenty dęte w Ochotniczej Straży Pożarnej.

Może więc w niedalekiej przyszłości znów będzie głośno o Siennicy Różanej?

Z większego pagórka patrzę na odległą cukrownię pod Krasnymstawem. Ona już dziś wywiera wpływ na tę okolicę. Jej bliskość każe rolnikom powiększyć plantacje buraka, a władzom gminnym głowić się, jak skrócić do niej drogi. Trzeba połączyć Krupę i Stójto z Czarnoziemem, Baraki z Chelmcem. Maciejów z Leśniowicami, od Siennicy Małej w stronę samej cukrowni. Do tych zamierzeń dołączyły gminy Leśniowice i Krasiczyn, bo mają taki sam interes. Nowe granice gmin oraz tamta inwestycja cukrownicza stworzyły nowe potrzeby komunikacyjne. Chodzi o oszczędność wielu, wielu kilometrów, odciążenie trasy E-81 z Zamościa do Krasnegostawu, a także ulic tego miasta, przede wszystkim zaś o wygodę dla sa-

SIENNICA RÓŻANA

Tadeusz Jasiński

grody, Wierzchowin, Kolonii Zwierzyniec i Zdzannego. Na terenie zachodnim gminy spadkobierców jest nieco więcej, ale i chętnych do oddania ziemi niemało. Jeśli więc ktoś posiada 6 ha w 15 kawalkach, jakże ma na tych splechawkach gospodarzyć Spółdzielnia Kółek Rolniczych, która jedyna w tej części mogłaby ziemię przejąć?

grody, Wierzchowin, Kolonii Zwierzyniec i Zdzannego. Na terenie zachodnim gminy spadkobierców jest nieco więcej, ale i chętnych do oddania ziemi niemało. Jeśli więc ktoś posiada 6 ha w 15 kawalkach, jakże ma na tych splechawkach gospodarzyć Spółdzielnia Kółek Rolniczych, która jedyna w tej części mogłaby ziemię przejąć?



Chór z Siennicy Różanej

Fot. J. Polski

GRANIE NA LISTKU SERCA

Maria Brzezińska

PIERWSZY raz przyjechali do Kazimierza dziesięć lat temu. Kilkudziesięciu muzyków, kilkanaście kapel. Przyjawszy zaproszenie Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie grali i śpiewali w scenarii kazimierzowskiego zamku.

Dziesiątego Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych doglądał król „osobliwość” panując nad dużym rynkiem czternastometrową postacią. Wiadomo, pańskie oko... Festiwal, którego zakończenie niedawno obwieściły głosy trombit, nie zmieści się w jednym przymiotniku: udany, piękny, nawet zachwycający. Bo tak jak ludzki ból miewa tysięczne postacie i odcienie, tak samo wielka radość ma swoje nieprzeliczone kolory.

Kamena str. 12

Ludowi muzycy od wieków znają sposoby jak zatrzymać słońce nawet po zachodzie, nawet w czarnej godzinie: o-tóż trzeba je zamknąć w pudle skrzypiec albo basów, schować za skórę bębna, razem z klarinetem włożyć „za pazuchę” albo z drewnianą piszczalką trzymać za cholewę. Gdyby się jednak gdzieś rozproszyły cierpliwie zrobione instrumenty, to więcej grajkowie wiedzą, że słonko, słońeczko drzemie także w zielonych listkach brzo i wierzby, w młodych gałązkach brzo, nawet w zwyczajnej słomie. Instrument wykonany ze słomy nazywa się „słomcok”. Na takich właśnie „słom-

cokach” grali wzbudzając wielkie ku sobie upodobanie członkowie kapeli z Limanowej.

Festiwal w Kazimierzu należy do najczarowniejszych zjawisk, jakie możemy obserwować w naszym regionie. Urzeka w nim przede wszystkim to granie na listku serca, muzyka, w której się zamyka i piękno pejzażu i ludzkie przeżycia i nawarstwienia tych przeżyć zwane tradycją. Profesor Jądwig Sobieska od lat obserwująca występy ludowych muzyków i śpiewaków napisała: *Gdy pojawią się na estradzie skromni i prości, nie wyposażeni w barwny strój świeżej roboty i*

gdy wskreszać będą przed nami watościowką, zapominaną przez innych nutę — uchylajmy czoła. Może to będzie przekaz najcenniejszy, choć mniej efektowny niż popis zespołów zasobnych w stroje, oferujących program skierowany do nie najlepszych gustów publiczności. Festiwal w Kazimierzu jest z założenia imprezą, w której przeważa folklor możliwie autentyczny, najbardziej zbliżony do „źródeł”.

Często nie tylko pieśń jest stara ale i strój wiekowy, instrumenty pamiętające pradziadków. Publiczność kazimierskich festiwali ma więc okazję dotknąć tradycji, bez potrzeby okres-

POD PARAGRAFEM

Urlopowa opowieść

JEST to historia ścieżka jak bułeczkę wrocławskie rankiem, aczkolwiek zaczyniona zeszłego roku latem, samo zaś ciasto wrosło tegorocznej wiosny. Wanda, urzędniczka, lat 32, panna, podała do sądu o alimenty Karola, inżyniera, lat 35, żonatego. Wyszła właśnie ze szpitala po udanym porodzie i uważa, iż dziecko powinno mieć zapewnioną odpowiednio wysoką stopę życiową. Karolowi Wanda życia rujnować nie zamierza, matrymonialnych pretensji nie wnosi, porzucenia przez siebie żony i dzieci nie żąda. Zresztą cóż to by była za para: ona dorodna, wysoka, „przy kości”, on drobny, niski, „konusowaty”. Wanda zna życie, uważa, iż kobieta może się zapomnieć, ale za wszystko trzeba płacić, dziecko bardzo kocha, a płacić musi pan Karol.

Przywołany przed oblicze sądu, Karol kategorycznie zaprzeczył swemu ojcostwu w przypadku dziecka Wandy, aczkolwiek nie zaprzeczał znajomości z Wandą i ulatwił następujące fakty. Przez cały rok jest człowiekiem spokojnym, przykładowym ojcem rodziny i jeśli zdarza mu się czasem napić z kolegami, to nigdy nie wraca do domu po tym, jak mleczarz roznosi i stawia przed drzwiami mieszkań mleko. Wiadomo zaś, że gdy się wróci przed mlekiem, to tak jakby się wróciło tego samego dnia, kiedy się wyszło; po mleku — to już jakby się wróciło następnego dnia.

Fakty te miały świadczyć o bezwzględnej moralności Karola — z wyjątkiem jednego okresu w jego pracowitym życiu: gdy żona zabierała dzieci i wyjeżdżała na wczasy, a Karol zostawał w domu sam. Różne znajome panie oraz koleżdy-szakale, towarzystwo, któremu przez jedenaście miesięcy ani nawet do głowy nie przyszło, żeby dzwonić do Karola, teraz, już następnego dnia po wyjeździe Karolowej małżonki, uprost nie odchodziło od telefonu, proponując Karolowi a to spotkanie, a to bankietek, a to balecik. Zupełnie jakby jedna z drugim się domyślali, że u Karola mieszkanie wolne. Nie ma siły odmówić.

W takich okolicznościach Karol poznał był Wandę, przeprowadzoną przez kogoś tam. Nie przeczy nawet, że ona mogła być jego przydzieloną na ten wieczór. Ale przede wszystkim pił wódkę

w ilości od pół litra na twarz. Po tej zaś ilości Karol nie nadeje się do żadnych odważniejszych gestów erotycznych, co wszyscy wokół mogą poświadczyć i co wcale nie należy do rzadkości w świecie męsko-damskim. Karol jeszcze raz kategorycznie oświadcza, iż po półlitrze na głowę stać go tylko na niewinne piesszoszki, co w rodzaju niedźwiedzia: leży z boku i mruczy...

Sąd zarządził badanie krwi matki, dziecka oraz domniemanego ojca, czyli Karola. Niestety, badanie nie wykazało ojcostwa Karola, wykluczyło natomiast — i tu bomba absolutna oraz konsternacja — macierzyństwo Wandy. Tego jeszcze nie było i poczęto przycisnąć Wandę srodze. Ale Wanda swoje — nie chce Karola, nie chce już nawet alimentów w tej sytuacji, chce tylko dziecko, bo dziecko jest jej, a zresztą o to odpowiednio zaświadczenie ze szpitala, iż odbyła poród prawidłowo i w czasie, a powiła dziewczynkę.

Faktycznie, zaświadczenie szpitalne w porządku, personel położniczy potwierdził zeznania Wandy. Powtórnice zbadano krew Karola, Wandy i dziecka. Wyszło — jak poprzednio: Karol może być ojcem, Wanda nie może być matką. Obłąd.

Na szczęście, szpitalik, w którym rodziła Wanda, był niewielki. Ustalono adresy kilku kobiet, które w owym szpitalu rodziły w tym samym czasie, co Wanda. Pod różnymi pozorami kilku małżeństwom i kilku dzieciom pobrano krew do badania i stwierdzono ponad wszelką wątpliwość rzecz, która się nie zdarza, a jeśli już, to raz na milion: dziecko Wandy oraz małżeństwa S., obie dziewczynki, zostały w szpitalu zamienione!! Oczywiście, przez absolutny przypadek, lecz w jakich okolicznościach, nie wiadomo, ponieważ praktycznie podobny wypadek jest... niemożliwy.

Tak więc przynajmniej jedna rzecz została zaliczona po ludzku: dzieci wrócić do własnych matek. Ale sytuacja Wandy zrobiła się taka: kobieta chowa wprawdzie własną córkę, jednak stało się jasne, że ojcem tej „nowej” dziewczynki nie może być Karol, ponieważ wykluczyły to rezultaty badania krwi. Upadła sprawa o alimenty przeciwko Karolowi, lecz Wandzie to nie przeszkadza — ma swoje dziecko.

pom

Jerzy Leszczyński

KLAPA

Rzecz, dzięki której odkrywa się dziurę.

WIADOMOŚCI WSTĘPNE

Po przeczytaniu książki wiem, czy oplaca się czytać wstęp.

PRZYJEMNOŚĆ

Coraz dalej pamięcią sięgać muszę, by mieć ją.

MUZYKA HIPOCHONDRYKA

Koncert na organy ludzkie nadawany.

PEWNE KRYTERIUM

Im dalsi krewni tym bardziej pewni.

DOZWOLONY CHWYT

W męskich z kobietami zapasach stosuj z a c h w y t y poniżej pasas.

pywania z kurzu starych ksiąg. Zresztą to nie najlepsze chyba porównanie. Bo wiem wódm muzyków ludowych istniała i nadal istnieje przede wszystkim tradycja ustna — przekazywanie swoich umiejętności z ojca na syna. To dlatego tak często zdarza się, że kapela to jedna wielka rodzina i w tym dosłownym i metaforycznym znaczeniu. Występowała w Kazimierzu słynna familia Pudelków z Siedlec: dziadek, dwóch synów wnuczek, ciotka, dwóch stryjów i jeszcze, jak mówiono, dw h „przybłądów”, z których jeden „zaliczył się” do Pudelków, ale miał o dwie morgi za mało to go nie chciała.

Na dziesiąty Festiwal Kapel i Spiewaków Ludowych przyjechało do Kazimierza 40 kapel, 7 zespołów śpiewających, 37 śpiewaków i 27 instrumentalistów. Koncerty konkursowe trwały po cztery godziny dziennie. Po połud-

niu i wieczorami odbywały się koncerty zespołów folklorystycznych, wieczory poezji i gawęd. Kapela występowały także w Puławach i Dęblinie. Wszystkie spotkania z ludową muzyką cieszyły się ogromnym powodzeniem. I w tym upatruję główny sukces organizatorów kazimierskich festiwali, tego, i dziewczęciu poprzednich. Nie trzeba się już starać o widzów, jak to się mówi „organizować widowiska”. Wdzięczni słuchacze nie ty to siedzą czy stoją godzinami przed estradą ale chodzą grupkami wszędzie tam, gdzie kapela zechce zatrzymać się i zagrać, co czyni nad wyraz chętnie.

Niech żałuje, kto nie miał czasu aby tam pojechać. Nawet w Kazimierzu tylko raz do roku zdarzają się cuda: klarnet zamienia się w flet zaczarowany, a król Kazimierz we własnej osobie staje między „dawnymi a nowymi laty”.

WIEŚ 76

KOMITET Miejsko-Gminny PZPR w Lęcznej, oraz Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej w Lublinie zorganizowały konferencję panelową pod nazwą: „Przemiany w świadomości mieszkańców wsi”, na której dociekano przyczyn, przebiegu oraz kształtowania się postaw moralnych i światopoglądowych, a także roli organizacji ideowo-wychowawczych. Według słownika wyrazów obcych „panel” jest pojęciem zrodzonym na gruncie angielsko-amerykańskim i oznacza grupę specjalistów z różnych dziedzin, prowadzącą dyskusję publiczną — zwykle w radiu lub telewizji — na pewien określony temat, w celu przedstawienia różnych punktów widzenia.

Zarówno doc. dr Zdzisław Grzelak, mgr Stanisław Stachnik i mgr Jerzy Suprewicz z Instytutu Socjologii UMCS, jak i doc. dr Edward Ciupak z Uniwersytetu Warszawskiego, dr Zenon Mikołajczyk z NK ZSL, a także leżnianin mgr Henryk Korba, potrafili rozpałić umysły zebranych żywo ich obchodzącymi problemami, także wziętymi z najbliższej okolicy. Tym bardziej za męstwo UMCS, prof. dr Ryszard Otłowski, przewodniczący konferencji, swoim wystąpieniem przydał tematowi ciekawe zabarwienie.

Chcokolwiek chęłoby się dziś pewnie powziąć o współczesnej wsi polskiej, trzeba by było nie tylko myśli socjologów, ale i ekonomistów, polityków, pedagogów, psychologów. Socjologia jednak wkrocza po trosze w zakres wymienionych tu nauk, ponadto odwołuje się do historii, aby lepiej można było pojąć ogrom przemian, jakie przeżyła społeczność wiejska. Zadówólnym się więc jej wynikami. A one najczęściej brzmią jak prawdy oczywiste, bo poddaję się bezpośredniemu naszemu doświadczeniu i weryfikacji.

Jeśli słyszymy, że kultywowana dawniej maksyma o biologicznym przywiązaniu chłopca do ziemi staje się obecnie już tylko mitem, nie dziwimy się temu, bo wiemy, że wkroczyły w naszej

epoce do jego umysłowości nowe wartości, no, a przede wszystkim stała się faktem możliwość wyboru zawodu poza rolnictwem przez tego dzieci. Z ich witalizmu rodzą się nieraz całe miasta, ich siła karmi się przemysł. Stwarza to problemy, bezpośrednio na wsi, wielu starych rolników czeka na przejęcie ziemi przez gospodarstwa państwowe i spółdzielcze całymi latami.

Wyraźnym novum jest niesłychana ekspansja społeczności wiejskiej, małego nieraz objawy patologiczne. Jest to dążność do posiadania niemal wszystkiego (lub lepszego) w domu, co posiadał przed reformą rolna dzielnice co mała mieszkańcy miasta. Jest to swoiste współzawodnictwo z sąsiadami, zazdrość, że ktoś posiada już to do czego dana rodzina dopiero dąży. Jest to jednak w sumie objaw pozytywny, bo powoduje większy wysiłek, zwiększona produkcja i w ten sposób wada, dość jeszcze powasębia, a zachowana z dawnych czasów, to izolacjonizm — sędziwość — ten skądinąd wartościowym jednostkom nie pozwala się włączyć do przedsięwzięć całej społeczności wsi lub gminy. Pamięć dawnej wsi sprawia, że wielu inteligentów nie przyznaje się do wielkiego pochodzenia, zacierają nawet nieomal wszelkie ślady, rozluźniają więzy z rodziną pozostającą poza miastem. Natomiast chłopcy pochodzenie chętnie manifestują ci potomkowie wsi, którzy wysoko szli w hierarchii społecznej, szczególnie w dziedzinie nauki i różnorodnych dziedzin sztuki. Konfrontacja niejako dobrze poleta jednostki chłopięckiej, która zresztą jest wciąż jeszcze rozpowszechniona na samej wsi polskiej i posiada duże walory.

Na leżniańskiej konferencji panelowej ubolewano, że zanikają ludowe formy twórczości, a dominują odwieczne, natomiast jedynie konsumpcyjne. Młodzi

Dokończenie na str. 15

HOROSKOPY

Ważne od 26 VII do 9 VIII

BARAN
21 III — 18 IV

Możesz otrzymać niespodziewane zlecenie wyjazdu w daleką podróż służbową. Nie staraj się jednak korzystać z okazji i odwiedzać „po drodze” starych znajomych. Wrócić do przeszłości nie ma najmniejszego sensu.

gać ludzi spod znaku Bliźniąt i Panny. Oczywiście mogą być wyjątki, nie mniej lepiej z góry — przy zawieraniu nowych znajomości — zapytać o datę przyjęcia na świat... Najbliższe dni zapowiadają się pogodnie, nie licząc drobnych nieporozumień rodzinnych. Pewne kłopoty mogą zwłaszcza wyniknąć na skutek nadużycia alkoholu. Potrzeba wzajemnej tolerancji.

STRZELEC
22 XI — 21 XII

Cheesz skończyć z nową znajomością, która wyrażnie zaczęła się już nudzić i widzi się, że to wcale nie jest takie proste. Musisz uczynić wszystko, aby nie dopuścić do intrygi „Strzelcy”, jeśli idący już w życie samotnie, mogą mieć szczególnie poważne kłopoty.

BYK
19 IV — 20 V

Nie musisz się aż tak bardzo denerwować. Oczywiście to przeżycie nie należy do miłych, ale w zyciu zdarzają się znacznie gorsze sytuacje. Nowa znajomość rzeczywiście ma duży urok — to ci oszczędza ów niepewny dla ciebie przełom linea i siernia. Działaj z rozwagą i nie podejmuj zbyt szybkich decyzji.

PANNA
23 VIII — 22 IX

W domu goście — może nawet z zagranicy, sporo z tego powodu wydatków. Ale należy zachować się serdecznie, bo uprzejmość może się opłacić. „Panny” powinny bardziej ostrożnie spojrzeć na życie, zwłaszcza wówczas, kiedy zawodza nerw. Panowie srod tego znaku — również.

KOZIOROŻEC
22 XII — 20 I

Musisz szybciej poznać obecne miejsce pracy, bo w pewnych sprawach zachowujesz się dziwnie ignorancję. Okazuje się, że nie jest tak łatwo, jak początkowo „przyuszczaliśmy”. „Koziorożec” zadowolony wpadają znow w niebezpieczną rutynę. Wszystko należy więc na nowo przemyśleć i może nawet zmienić metody postępowania. Dla własnego dobra.

BLIŹNIĘTA
21 V — 20 VI

Ewentualna zmiana pracy znow się komolkuje; inni mają lepsze tzw. chody. A zastanów się, czy niekiedy sam/a nie jesteś winny/a! Gadulstwo, zbytnia pewnością siebie to nie są cechy, które mogą się podobać.

WAGA
23 IX — 22 X

Jeżeli urodzeni pod tym znakiem wybierała się na urlop, powinni szczególnie zainteresować się o sprawy finansowe. Urlop bowiem — zwłaszcza wówczas, kiedy ma się go zamiar spędzić samotnie — będzie dość niecodzienny. Po prostu nowe znajomości, które mogą okazać się zbit interesowne... Trzeba też uważać, aby te znajomości później nie utrudniły życia!

WODNIK
21 I — 18 II

Za długi twoje życie było zbyt spokojne. Teraz nie możesz przyzwyczaić się do tych ciągłych zmian — zarówno w pracy, jak i w sprawach osobistych. Cubisz się i masz pretensje do wszystkich, tylko nie do siebie. A przeżył ty, tylko ty, możesz zdecydować. A osoba smród znaku Baka ciagle czeka. I ciagle jest wierna.

RAK
21 VI — 22 VII

Konflikty domowe narabniały, ani ty, ani druga strona nie chcecie ustąpić. A przecież w gruncie rzeczy chodzi o drobniaki. Wykasz trochę dobrej woli, ktoś musi zrobić ten pierwszy krok. Nie bo do czego ostatecznie chcecie doprowadzić? Do rozwodu? To już by była ostateczność...

SKORPION
23 X — 21 XI

W domu rozgardiasz, w pracy pewne nieprzejmowności. Twoja daciek'iwona może się obrócić przeciwko tobie, choć innym też możesz sprawić pewne kłopoty. Zastanów się nad tym, jak najbardziej uczciwie pogadaj z sobą. Nie lap kilku srok za ogon.

RYBY
19 II — 20 III

Stella

ANTONI SŁONIMSKI

URODZONY w r. 1933, zmarły na skutek wypadku samochodowego 4 lipca 1976 r., bez mała 43 lat był obecny w polskiej literaturze Antoni Słonimski. Wszedł do niej — jak sam napisał — „chylkiem, niepostrzeżenie, niejako kuchennymi drzwiami”. Studiował najpierw malarstwo w warszawskiej Szkole Sztuki Pięknych, następnie w satyrycznym tygodniku „Sowizdrzał” umieszczał karykatury. Za karykaturami poszły felietony i recenzje teatralne. Kiedy w r. 1938 jego zainteresowania wykryli, przetrzymywano go w łazience, by miejsce pałaty zajęło pióro, zadębił jako poeta trzema sonetami wydrukowanymi w „Kurierze Warszawskim”. Od tego czasu prawie co rok ukazywały się jego zbiory wierszy, z których „Czarna wiosna” (1935) i „Godzina poezji” (1925) do dziś zachowują pamięć u czytelników. Pełne jednak wejście na arenę literacką łączy się dla Słonimskiego z występ-

ami w słynnej kawiarni poetów „Pod Pikadorem”, gdzie oprócz niego robili furorę wierszami a także satyrą polityczną Lechów, Tuwim, Iwaszkiewicz i Wierzyński. Z „pikadorczyków” tycho powstała grupa poetycka „Skamander”. Miesięcznik o tym tytule stał się trybuną wypowiedzi młodych zdobywających dla polskiej poezji nowy ton i nowe środki ekspresji.

Słonimski odegrał w tym rolę niepoślednią. Myliłby się ktoś na podstawie jego przywiązania do klasycznych norm sądząc o braku poszukiwań. Istotnie, strofa Słonimskiego nie wynika z chęci epatowania jakże często pozornymi oryginalnościami formalnymi, ale jest pełną dynamiką, w którym stanowisko intelektualne waloryzuje się przez napięcie emocji.

„Nieprawdą jest, że piłem w portowej szynkowni.

Kłamabem, kiedy mówił, że Bóg na mnie wola. Nie siedłem nigdy w blasku smolnych głowii I nie spotkałem nigdy diabła ni anioła”.

Niezgoda na utarty pogląd zawsze była wyznacznikiem postawy artystycznej i światopoglądowej tego autora. Najdotkliwiej wyraziła się w głosnych, niezwykłe ostrzych i pełnych dowcipu felietonach, w „Kronikach tygodniowych” publikowanych na łamach „Wiadomości Literackich” od r. 1927 aż do wybuchu wojny. Dzięki nim Słonimski zdobył popularność równą popularności Boya. Znamionowało je jednak nie tylko wyczucie humoru, ale również zdecydowane stanowisko humanisty i wyczuwanie na problemie moralnym. Szczególnie ostro Słonimski piętnował faszyzm wyczuwając w nim niezwykle realizm — czego dowodem historia — zagrożenie dla kultury i wartości ludzkich. „Wśród wielu szaleństw, które chciałem przedstawić w Europie nie wymyśliłem jednak niczego tak efektownego jak palenie książek na

placu opery berlińskiej. Nie przyszło mi na myśl, że z Niemiec mogą wygnać czterech laureatów Nobla. Pomyślał taki uważałbym zresztą za kicz literacki”. Antyhitlerowski ostrze posiada również sztuka teatralna Słonimskiego „Rudzina” (1933), która osiągnęła sto przedstawień, co w owym czasie należało do rzadkości. Odmieszła ona psychologicznie, z obrazem przepętanej SA-mana, który czyniąc poszukiwania za swym aryjskim pochodzeniem natrafia na ojca — Żyda. Nie jedyną to komedia Słonimskiego. Wśród kilku nie mniejszą popularność zdobyła sztuka „Morzyca warszawski” i „Lekarz bezdomny”.

W czasie wojny doszedł do nas wiersz Słonimskiego „Alarm” napisany jeszcze jesienią 1939 r. Jest to jeden z najbardziej znanych tego autora, a zaszczyt zapisał się w odbiorze czytelnictwem przez swój sugestywny ton. Na emigracji w Londynie powstał „Popiół i wiatr” — poemat przejętym serdecznym i pełnym nostalgia wspomnieniem dawnej Warszawy.

Z. M.

KULTURA 1976

FILM

● Na małym ekranie królują transmisje z olimpiady. Ale wkrótce i na dużym ekranie będzie więcej sportu. Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi właśnie ukończyła realizację trzech filmów poświęconych trzem dyscyplinom sportu, a właściwie ludziom uprawiającym te dyscypliny. A więc „Hokej” — poetycka impresja o zawodnikach z ostatnich mistrzostw hokejowych świata w Katowicach, „Boks” — historia młodego człowieka, który dzięki wielkim wyrzeczeniom osiąga sukces, „Jeden z 22” — historia o grającym na boisku piłkarzu.

● W minionej dekadzie w ZSRR kina miały ponad 23 miliardy widzów, w licznych wytwórniach wyprodukowano ponad tysiąc filmów fabularnych. Oddano do użytku prawie 600 kin, przeciętnie dla 500 widzów każde. Plan bieżący przewiduje zwiększenie dalszych 500 kin.

LITERATURA

● Cenne zbiory Biblioteki Jagiellońskiej wzbogaciły się o kolekcje listów Adama Asnyka, Juliusza Osterwy, Oktawii Żeromskiej, Witolda Hulewicz i Stanisława Krzemińskiego, a także autografi Jana Kasprowicza i Stefana Żeromskiego. Ofiarodawcą jest prof. dr Konrad Górski, doktor honoris causa UJ.

● Wydawnictwo Łódzkie, jedno z najmlodszych w kraju, rozpoczęło wydawanie dwóch nowych serii. Jedną z nich to biblioteka poetycka — ukazały się w niej dotychczas tomiki „Tylko ston” J. Wilmańskiego i „Powrót światła” M. Szargana oraz biblioteka

jugosłowiańska — do końca roku ukazały się dwie powieści, tom opowiadań oraz tomik poezji. Ponadto w dalszym ciągu serii radzieckiej ukazały się antologie poezji ormiańskiej i gruzińskiej.

● Każdy kulturalny Polak przyjeżdżający do Dreżna powinien odwiedzić zabytkową kamieniczkę przy ul. Nordstrasse 28, gdzie przez wiele lat mieszkał J. I. Kruszewski, tu napisał on m. in. „Starą baśń”. Obecnie warszawskie Muzeum Literatury urządziło tam nową ekspozycję muzealną. Dotyczy ona nie tylko życia i twórczości powieściopisarza, ale także ukazuje historyczne związki pomiędzy Polską a Saksonią. Z okresu emigracji po upadku powstania listopadowego są pamiętniki związane m. in. z Mickiewiczem, Słowackim, Chopinem, Klaużyną Potocką.

● Dziś 60-letnia panna Grace Hamblin przez 33 lata była sekretarką Winstona Churchilla. Twierdzi ona że Churchill do ostatnich chwil życia nie tracił zamilowań do pisarstwa historyczno-pamiętnikarskiego. Ale sam nie pisał nic, wszystko dyktował — miss Hamblin stenografowała, potem częściowo zastępował ją magnetofon. Dyktował przebieżnie leżąc w łóżku, czasem w samolocie lub samochodzie. Niektóre zdania wyglądały na kilka razy. Gdy sekretarka coś źle zanotowała, powiadał, że wprawdzie jest osobą inteligentną, ale niedokształconą.

MUZYKA

● Nowy Sącz jest jednym z pięciu ośrodków na świecie, w którym w średniowieczu tworzone i wykonywano muzykę wielogłosową. W tamtejszym archiwum znajdują się najcenniejsze w naszym kraju zbiory piśmienn-

nictwa muzycznego, w tym pochodzące z XIII wieku. Dlatego tam też zlokalizowano Festiwal Muzyki Dawnej. W ciągu czterech dni w pomieszczeniach klasztoru zbudowanego w XIII w. zespoły polskie, austriackie, francuskie i słowackie prezentowały dawne utwory, z których część tu właśnie miała swoje premiery przed około 700 laty.

● To nie zdarza się często: w ciągu dwóch lat zdobyć trzy pierwsze miejsca na różnych konkursach. A udało się to śpiewaczkę japońskiej Mitsuko Shirai, która krytycy zgodnie nazywają rewelacją. Triumfowała na konkursie śpiewu solowego w Atenach, konkursie Hugonia Wolffa w Wiedniu i konkursie Roberta Schumanna w Zwickau.

OPINIE

● „Osobiście mam pretensję do uczonych piesenologów iż nie uwzględnili w swym werdykcie Marianny Wróblewskiej, której temperament wokalny i sceniczny coraz bardziej pozwala jej kreować rolę polskiej Heleny Vondračekowej. Wszakże styl „à la vedette” nigdy nie cieszył się estymą wśród naszych katonów estrady. Jestem jednak przekonany, że publiczność zaakceptuje piosenkę „Sobą być” i że będzie to jeden z niewielu przebojów, jakie wyfrunęły w tym roku z opolskiego amfiteatru”. (Zbyszko Zabrzęski — „Czas” nr 28).

● „Sukcesom sportowym często towarzyszy zbiorowa historia, która przekracza normy zdrowego rozsądku. Naród łaknący tych sukcesów, niezmiernie i grzyżący sukcesy gladiatorów, domaga się ich coraz więcej i więcej. Brak sukcesów powoduje ogólną frustrację i potęgę presji społecznej. Często dyskutujemy się u nas nad sposobami odnowy sportowej potęgi, jednak nie zastanawiano się do dziś nad przyczynami braku polskiego laureata nagrody Nobla w powojennej historii kraju”. (Grzegorz Kaczmarowski — „Życie Literackie” nr 28).

● „Ogólnie uważa się że ogromny boom na pornografię społeczeństwa zachodnie mają już za sobą. Nie bardziej biednego. Fala ta w dalszym ciągu jest wysoka — nie zauważa się jej wy-

szkości, bo się do niej już przyzwyczajono”. („Prawo i życie” nr 28).

● „Ale i szczury wzięły się na sposób: nie jeżdżą tramwajami ani autobusami, nie spieszą się i z dużą wprawą potrafią wykorzystać fakt że my — panowie stworzenia — coraz więcej naszych spraw, urzędów, pomysłów, pomieszczeń przenosimy pod ziemię. Skutek jest taki, że wszystkie gatunki zoologiczne na świecie giną, a rosnie tylko liczba ludzi i szczurów. Co z tego wynika nie wiadomo, może trzeźba będzie wymyślić jakas koegzystencję, pójść na kompromisy, podzielić się sferami wpływów i bazą żywnościową”. (Ćwick — „Od głosu” nr 28).

PLASTYKA

● Muzea amerykańskie przeżywały poważny kryzys finansowy. Prawie wszystkie powstały w różnych okresach z darów i zapisów — była to swego rodzaju ucieczka bogatych ludzi przed podatkami. Jednak wskutek inflacji i ogólnej drożyzny dotacje albo zanikły, albo poważnie straciły na wartości. Metropolitan Museum of Art, jedno z najszlachetniejszych w świecie, musiało zwolnić czwartą część personelu, aby jakoś zataić największe zbiory finansowe, a zwiedzanie ograniczono do jednego dnia w tygodniu. Muzeum Sztuki Współczesnej Fundacji Guggenheima miało w ub. roku 150 mln dolarów deficytu teraz także ograniczyło możliwości zwiedzania. Na wystawy przychodzi coraz mniej widzów, ceny obrazów spadły o około 15 procent, gdyż brak nabywców.

● W wielu miastach Europy, z którymi związany był Tycjan, obchodzi się 40 rocznicę śmierci artysty. Zaczął Paryż, urządzając w Luwrze wystawę jego 13 płócien. Wenecja organizuje wystawę drzeworytów i grafik itd. O ile data śmierci Tycjana jest znana: 27 maja 1570 roku, o tyle data urodzin jest niepewna. Według jednych źródeł zmarł mając 103 lata, według innych był młodszy, nawet o 15 lat. Historycy — przynajmniej niektórzy — są zdania, że Tycjan chętnie dawał się postarzać, gdyż jako „znakomity

starzec” mógł łączyć wyższych honorariów.

TEATR

● Tegorocznym laureatem nagrody prezesa Rady Ministrów jest krakowski Teatr Lalki i Maski „Groteska”. Scena ta jest przez znaczną część wszystkich dzieci dzieć się nie tylko. W ciągu 20 lat istnienia „Groteski” jej spektakle oglądało ponad 3 mln widzów w kraju oraz wiele tysięcy w różnych krajach. W nowym sezonie teatr wystawi sztukę, która będzie w całości przygotowana przez dzieci — chociaż pod okiem dorosłych. Dla widzów starszych przygotowuje się zaś sztukę opartą na kilku opowiadaniach Dostojewskiego, co podobno jest pierwszym tego rodzaju eksperymentem na świecie.

● Mało kto wie, że najstarszą sceną objazdową w Polsce jest Teatr Ziemi Łódzkiej, który obchodzi właśnie jubileusz 25-letnia istnienia. W tym czasie teatr wystawił 125 premier, a na 11 tys. spektakli było 3200 tys. widzów. Na jubileusz przygotowano sztukę Freery „Damy i huzary”, wznawiając ją po 23 latach. Dyrektor Jan Perz powiada, że nie uznaje podziału widzów na lepsze i gorsze przygotowanych, bo wszyscy chcą oglądać sztuki dobre i dobrze zagrane.

● Londyński teatr Upstairs po różnych kłopotach wznowił działalność wystawiając sztukę — jeżeli można ją tak nazwać — o brytyjskich najemnikach w Angoli. Na scenie nie się nie dzieje, siedząc na krzesłach wypowiadają swoje kwestie cztery najemnicy, dziennikarka, biznesman i naganacz najemników.

● Telewizyjny Teatr Sensacji pokazuje w sierpniu sztukę Joe Alexa „Samolot do Londynu” — dramatyczną historię z lotu z Afryki Południowej do stołecy Wielkiej Brytanii. We wrześniu — widowisko „Morderstwo odkrywa prawdę” Patricja Quentina, w październiku i listopadzie — trzyodcinkowy serial Francisca Durbridge „Brutalna gra” w grudniu — dwuodcinkowy „Grobowiec rodzinny” według scenariusza Aleksandra Rowińskiego. Na przyszły rok zamówiono już u autorów polskich i radzieckich pięć sztuk z zakresu fantastyki naukowej.

noty i notki

W czasie festiwalu w Kazimierzu wszystkie ulice i placiki, nie objęte zakazem parkowania, były zapchane samochodami. Tymczasem parking PZMot. raczej świecił pustkami. Myślę, że były tego dwa powody. Pierwszy: obaj dozorczy, ten przedpołudniowy i popołudniowy, urzędowali nie na parkingu, ale przed pobliskim kioskiem z piwem, a ponadto żaden z nich po zainkasowaniu opłaty nie wydawał kwitka, co pozwalał imniemać, że zainkasowane pieniądze wędrowały do owego kiosku.

Dotychczas wydawało mi się, że aby rozpocząć studia doktoranckie trzeba najpierw skończyć studia zwykłe. Tymczasem z dość drzwinie sformułowanego ogłoszenia Akademii Medycznej w Lublinie („Sztandar Ludu” nr 157) dowiedziałem się, że „do studiów doktoranc-

kich mogą być dopuszczone głównie osoby posiadające dyplom lekarza medycyny”. Ponieważ o innego rodzaju studiach mowy dalej nie ma, można wnioskować, iż mogą być dopuszczone osoby inne, np. felczerzy lub — co gorsza — technicy od budowy dróg. Ładne perspektywy dla przyszłych pacjentów!

Na festiwalu w Opolu wystąpił m. in. popularny zespół „Dwa plus Jeden”. Ale już nie w składzie trzech osób lecz sześciu, jako że przybyło trzech instrumentalistów. Więc teraz wygląda tak, „Dwa plus jeden, to nie dwa plus jeden, ale pięć plus jeden, co u młodszych słuchaczy może zasiać wątpliwości w podstawowe zasady matematyki.

Na tymże festiwalu w Opolu zdarzyła się rzecz w naszym kraju bezprecedensowa: nie przyznano żadnej z czterech pierwszych nagród. Jurorom należałoby przyznać jakieś medale za odwagę. Gdyby mienica państwowa przyjęła zamowienia od prywatnej osoby, sam bym je zamówił”.

„Śmieję się do sera!” — zachęcał „Bolec” w nr 158 „Sztandaru Ludu”; twierdząc m. in., że małe spożycie sera wpływa na zmniejszenie przyrostu naturalnego, co rzekomo stwierdził na sobie mieszkaniec dawnego powiatu krasnostawskie-

go. Wprawdzie demografowie są zdania, że spadek przyrostu naturalnego w tym rejonie jest spowodowany utrzymującą się od lat emigracją młodych ludzi, ale widocznie „Bolec” ma w tej sprawie osobiste doświadczenia. Mimo, że właśnie w tym rejonie produkuje się szczególnie dużo jaj przepiórczych, które niedawno też reklamowano jako sposób na zwiększenie przyrostu naturalnego.

Na jednej trzeciej strony nr 28 „Polityki” Jerzy Waldorff poinformował czytelników, że wskutek potwornych upałów zachorował na bronchit i dlatego nie był na kilku ważnych koncertach, ale mimo to felieton napisał. Czy i kto na tym stracił, a kto zarobił, można dyskutować. Niebezpieczny natomiast dla automobilistów jest koncowy wniosek autora: „Bronchit spożytkuję w ten sposób, że zamiast dawać na szosie sygnały ostrzegawcze klaksonem, będę kasiał!”. Panie J. W.: naraża się pan na solidny mandat, jako że kodeks drogowy takich sygnałów ostrzegawczych nie przewiduje.

Jeżeli wierzyć niejakiemu „Widokowi” z łódzkiej „Ogłoszeń” (nr 26), na jednym z zebrań jakiegoś koła Ligi Kobiet w tym mieście w odczytywanym z maszynopisu referacie znalazło się takie oto zdanie: „Aktywność, co może, oddaje się na prawo i lewo, ale trzeba uaktywnić doły kobiece”. I namiętna się z tego

— niesłusznie zresztą, bo to, o czym myśli, wcale nie znajduje się na dole.

Ponieważ prawo autorskie chroni także tytuły, a te proste i nawet bardziej skomplikowane już się skończyły, więc autorzy (i autorki) wymyślają coraz bardziej drżenie. Pani Ewa Nowacka wydała w „Czytelniku” powieść pod tytułem „Temat na pracę doktorską”. I jaki to jest temat? Warszawski podrywacz, który najpierw święcił kilka sukcesów, a potem zostaje ośmieszony przez pewną dziewczynę, która mu nie ulega. Zastanawiam się tylko, na jakim wydziale wyższej uczelni można by napisać na ten temat pracę doktorską i który profesor lub docent habilitowany zechciałby być promotorem.

Aleksander Małachowski i Hamilton stale sąsiadują ze sobą na ostatniej stronie „Kultury”. Ale — jak wiadomo — „wiedzą sąsiadzi, jak kto siedzi”, tylko rzadko mówią o tym głośno. Tymczasem Małachowski w nr 23 (tak bez ogródek napisał o Hamiltonie: „Nie zamierzam z nim polemizować. Nie lubię zabawy w słowa w czym Hamilton celuje. Gada zawsze oszalatając dookoła i pięknie, ale na ogół bywa to gadanie dla gadania”. Poczekajmy na odpowiedź, bo chyba Hamilton nie puścił piątki takiej oceny. A swoją drogą w ten sposób można pisać felietony o niczym przez cały rok.

JOD

Pocztą literacką

A. A. Lublin. Czas, przez przeciąg którego czeka Pan na druk jest miara trudności, jaką sami odezwaliśmy wobec flości tekstów a także pozaliterackich problemów napierających na nasze lamy. Ale cierpliwości. Nie zapomniał.

S. P. Bydgoszcz. Zaczynał mi Pan tymi dogrodami, wyróżnieniami, almanachami, arkuszami poetyckimi „Radarami” i „Nowymi Medykami”. Nie powiem, że nie wzbudziła to mego podziwu: potrzeba coś o tematyce wedkarskiej, kopernikowskiej, bułgarskiej — już Pan pisał „Jęci”. Ale tak prywatnie chciałbym spytać: czy poza satysfakcją sprawiła Panu trudność, czy też może Panu mały kłopot wyrażenia własnego świata. Czy nie mam trochę racji? Co do wierszy, to mam trochę określeń dowolnych, nie nie znaczących. „Ojrze” się twarzą o przeznaczeniu nieboskona, „przeziemielny róg Tanatosa”, „brzeg życia białego i szarego”, „przeziemielny widokiem”. Nie wiem jakie treści łączysz z tymi metaforami. A są to cytaty tylko z jednego wiersza.

B. M. Kraków. Powiem szczerze, że to, co wydrukował Pan kiedyś w „Pocztę” ujęło mnie czymś, co nazwałbym energią słowa. To było dobre „wzięcie”. Następnie to, co otrzymałem teraz, trochę mi nie pasuje do tamtego. Może lepiej nie drukować? Nie zawsze się dałe najlepsze próby samego siebie. A moja opinia? Ta niby mająca orientować Sam Pan wie, jak wiele autorowi zależy na czytelnikach, jak mało na recenzencie. Ale skoro Pan sobie życzy... Otóż wydaje mi się, że nie zdobył się Pan na stanowczość. Trochę pozwolił Pan słowom na swawole. Za małe ujęcie cudzi. Wiele i wóe pociążył się niezapewne sprawnie. Dojechał, ale o coś tam po drodze zawadził i jeszcze jedno. Aczkolwiek bezskutecznie, to zawsze występuje przeciw tej praktyce, że autor dyskwalifikuje samego siebie. To wygląda na chwalebny samokrytycyzm, ale w rzeczywistości jest wewnętrznie sprzeczne. Bo totalna autonegacja kwestionuje w autorze wszystko, więc i czynność negowania. Czyż nie zostało powiedziane: „Sięgnijmy teraz do Leca: „Nawet kto gardzi sobą, szanuje siebie jako wzgardzieli”. A zatem musiał być ten choćby jeden niepodważalny punkt, z którego się ocenia. Konieczność logiczna. Inaczej wytwarza się błędne koło, jak w paradoksie: „Wszyscy Kreteńczycy kłamią — powiedział Kreteńczyk”. Wiem, że nie odnosi się to przede wszystkim do Pana. Ale chyba nie ma mi Pan za złe, że wiersz „XXX (dobrzy przyjaciele)” dał mi sposobność do tych kilku uwag.

J. A. K. Słupsk. Wielkim niezbyt cennym poemacie jest nadmiar spowiedzi. Nie znaczy to, że jest źle, kiedy autor wiele mówi o sobie. Na tym mówieniu polega. Ale jest źle, kiedy mówi ponad wydolność dysponowanych przez siebie środków wyrazu. Wtedy u wierzycielniemienia przeciwna jest jego kształt poetycki, ale tak zwana szczerokość, prawda, bezpośredniość. Pan popelnia ten błąd, że za dużo wtłacza egzystencjonalnych nastrojów w formę wiersza, którego pojemność na to nie wystarcza. Ten moment, kiedy jest „za dużo” trzeba uchwycić. Coś nam się Schować za słowa skromniejsze. Nie rozrywać na pierśiach koszu. Wtedy skutek będzie większy. Siła niedomówienia, dobitność dyskrekcji. Ale jakie się ciesze, że powyższe dotyczy tylko części nadesłanych utworów. Mniej więcej połowy. Pierwszej. Mam wrażenie, że Pan się rozwija z wiersza na wiersz. Więc i to, co napisałem trzeba przerobić na czas przyszły. Dlatego nie powiem o „Ocaleniu” i „Odległościach”. O dobrych wierszach nie mam prawa pisać ani słowa. Mam tylko obowiązek podać je do druku.

„Limabey”. Mógłbym odpowiedzieć ubrać w słowa ogólne i konwencjonalne, ale takie w naszym byt. Pana nie zorientowały. Powiem wyraźnie: ile się Pan naczytał i nasłuchał (kiedyś, kiedyś) zwrotów w rodzaju „siemacie” i zbioru niemieckich „band”, „w gniedzie dobił hitlerowska bestie”? Bardzo dużo. Więc powtórzysz je co Pan powiedział o sobie? Już ma Pan odpowiedź. Tak długo, jak nie będzie używał Pan słów własnych, tak długo stworzony tekst nie będzie wierszem. Tym bardziej, jeśli będą to słowa niezręczne i dziwaczne.

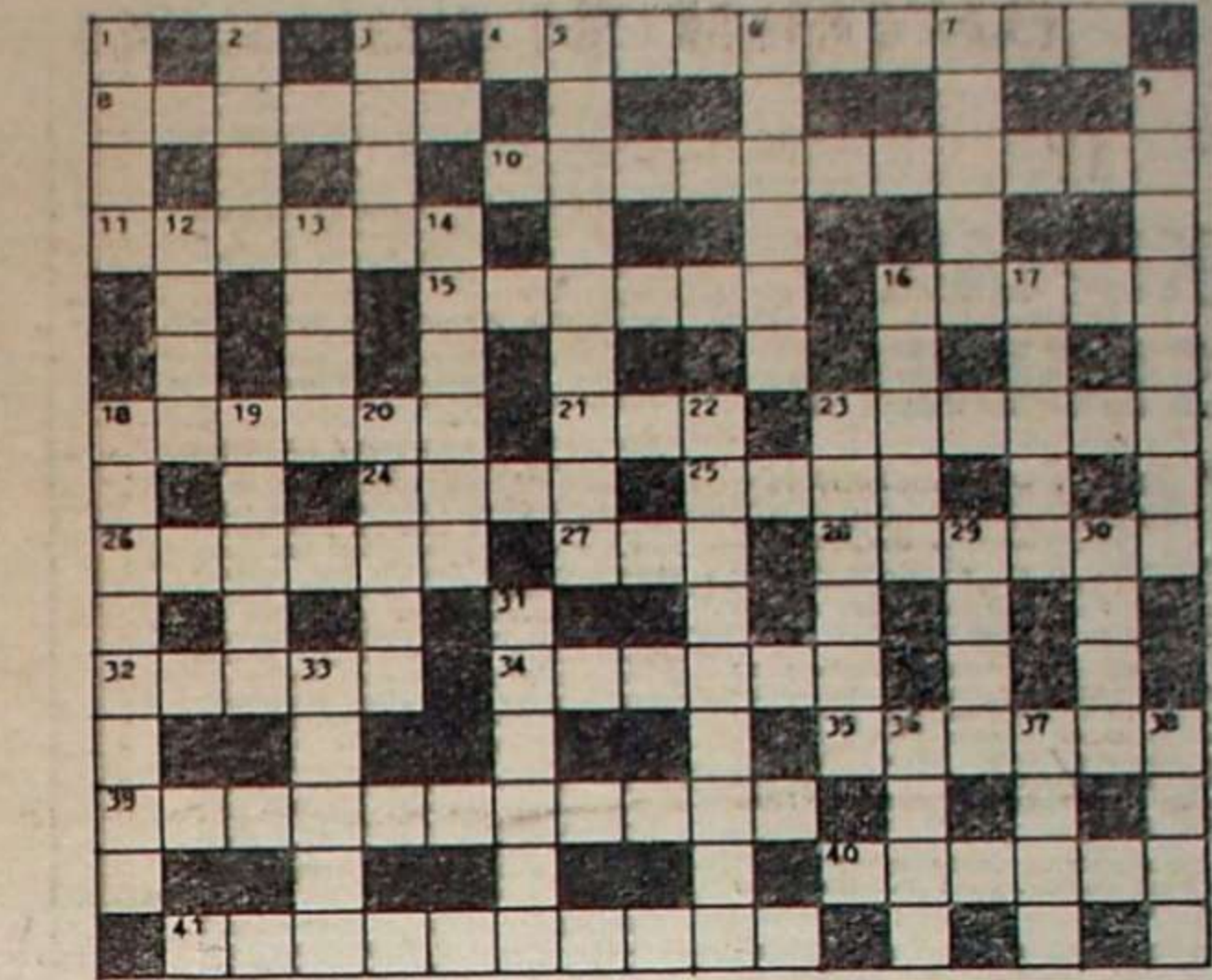
Krzyżówka (nr 15)

P o z i e m e : 4. pisarz — dramatuz wioski kłatek Nagrody Nobla, 5. wybitny malarz francuski (ojciec), lub reżyser filmowy (syn), 10. poeta polski z XIX wieku — lirnik małopolski, 11. autor „Kazań sejmowych”, 13. bardzo przewiewne sandały, 16. miasto w woj. gdańskim, 18. ścierka, galan, 21. kalinowy w sztuce Kornijczaka, 23. dawny sezonowy robotnik rolny jezdzący za pracą, 24. słowoska lanta drużyny piłkarskiej, 26. rzymski, 27. znawca piękna, 27. prawy dopływ Dunaju, 28. autor „Wspomnień ambasadora radzieckiego”, 32. miasto Kazimierza Pułaskiego, 33. litewska nimfa wodna, 33. popularny owoc, 39. laicki ruch umysłowy w XVII wieku przeciw tradycyjnej obyczajowości i scholastyce, 40. autor „Orki na igrzyskach”, 41. autor polskich powieści historycznych, którego muzeum znajduje się w Romanowie.

P i o n o w o : 1. pisarz polski, autor „Lalki”, 2. Jagiellonka, żona Stefana Batorygo, 3. śmiać z „W pustyni i w puszczy”, 3. współczesny pisarz polski, 6. poeta polski z XIX wieku, najbardziej wyprzedzający swą epokę, 7. współczesny poeta polski, tłumacz poezji radzieckiej, 9. pisarz polski, autor „Na laskowym chlebie”, 12. podręczny śmiestnik, 13. stolica radzieckiej republiki bałtyckiej, 14. dzieła 18. ludowa odmiana języka, 17. rzeka w Chinach, Indiach i Pakistanie, 18. poeta polski, żołnierz i kronikarz i Dywizji, 19. silnik, 20. czeskosłowacka fabryka samochodów, 22. biskup — poeta, doradca Zygmunta Starego, 23. największy port Indii, 25. stopa wiersza składająca się z dwu sylab krótkiej i długiej, 30. legendarny założyciel długoletniej stolicy Polski, 31. barwne owoce, 33. wyspa króla Minosa, 36. pieśń operowa, 37. pokrywa dziurę, 38. druga rzeka Polski.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 8 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-951 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z nr. 13.
Poziomo: Świnoujście, Tarnów, trampolina, pokioście, karawana, Serb, etan, zeskok, nadawca, Styka, tawerna, ułomek, dwór, Kuba, rektorat, Szczecin, jaszczurka, kobalt, arystokrata.



Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 13 czterech bonów książkowe po 40 zł każdy, wylosowali: Bohdan Biskiewicz, 56-218 Wrocław, ul. Pomorska 8 m. 30; Maria Poremba, 37-100 Łańcut, ul. Jana z Łańcuta 21, Andrzej Wesik, 05-500 Gustynin, skrytka pocztowa 58, Artur Ziolkowski, 85-838 Bydgoszcz, ul. Spokojna 9 blok i m. 41.

Pionowo: stop, brakarz, świstek, intelekt, opaska, Środa, Ibiza, sarabanda, annal, wianek, sestercja, Berent, osada, Kuroswa, otoczka, Kurczak, wtorek, Kasur, obcas, nota.

WIEŚ 76

Dokończenie ze str. 13

wolny czas lubią spędzić w najbliższym mieście, które zresztą ma um takte niewiele do zaoferowania, albo w klubowej kawalerce — oczekując najczęściej na gotowe. Wiesz, niestety, nie kończy się to podstawowej. Możliwość ułożenia życia poza rodzicielskim gospodarstwem obniża aurytety rodziców, osłabia więzi rodzinne. Niekorzystna jest także podziałność stosunku wielu chłopów-robotników do pracy w przemyśle i na własnym gospodarstwie. Często nie jest to zresztą ani dobry robotnik, ani nowoczesny rolnik — do zakładu przychodził odpoczywać. Nie będzie to możliwe w kopalniach przyszłego Lubelskiego Zagłębia Węglowego, które wokół Łęcznej się tworzy, przyszli górnicy muszą zdecydować się wyłącznie na górnictwo i ewentualnie na zwiększoną działalność. Na konferencji przeżywała się zresztą i nuta niepokoju, związana z przewidywanym charakterem zmierzania się dwu kultur: tradycyjnej wiejskiej, z tą, którą przyniesie industrializacja okolicy. Istnieje w naszej kulturze ludowej wiele osobliwości i różnicowań, a przecież ślągną do LZW ludzie wsi z różnych regionów kraju.

Naukownicy lubelskiej warszawskiej stwardził, w oparciu o przykład Lubelszczyzny także, że na wsi polskiej jest obecnie o wiele mniej nietolerancji dla innych postaw, a także nie ma już prawie pogardy dla uboższych. Jest niezaprzeczalnym osiągnięciem socjalistycznych przemian, że znikła różnica różnica między bogatymi gospodarzami, a dawnym proletariatem wiejskim. Nie tylko reforma, tam gdzie była możliwa, to wyrównała. Różnice te zniknęły także poprzez

powszechnie dostępną oświatę, do studiów wyższych włączanie, poprzez możliwość pracy poza rolnictwem. Brak takiej siły robocznej, będącej kiedyś motorem rozwoju wielkich gospodarstw, także ogranicza ich możliwość oddziaływania, zabija pychę zamocznych.

Pod wpływem przemian ekonomicznych zmienia się także świadomość chłopaka, a nawet ludzka natura. Mimo wpływu plebani na wieś, następuje spora laicyzacja i jak to sami naukowcy katolicy ujmują z niepokojem — dechrystianizacja. Znana dawniej aktywność religijna jest dziś o wiele mniejsza. Co raz częściej już zdarza się zaniedbywanie obowiązków i praktyk. lub spełnianie ich okazjonalnie oraz rozluźnienie więzów ze wspólnotą parafialną. Mniej jest identyfikacji (ideologicznej) z Kościołem, występuje lenonacja, gdy chodzi o wiedzę religijną. Widoczne jest także słabe powiązanie między religijnością a moralnością. Osiągnięciem laicyzacji życia na wsi jest niewątpliwie większa niż dawniej tolerancja dla ludzi niewierzących lub niechęjących praktyk religijnych. Przecież młodzież wyprzedza w tym mentalność starszych.

Tu i ówdzie ujawnia swą siłę, znany u chłopów postenowych także przed wojną antyklerykalizm.

W sumie więc wieś polska przeszła zasadnicze przeobrażenia. Nastąpiły one niewątpliwie tylko dzięki nowym warunkom, jakie przyniósł jej socjalizm, a wraz z nim przybliżenie kraju i świata. To z omawianej sesji wynikało jako sprawdzalna oczywistość.

Aleksander Jański

HEMPEL DZIAŁACZ I MYŚLICIEL

N AKLADEM „Książki i Wiedzy” ukazało się w końcu ubiegłego roku obszernie studium historyczno-filozoficzne o Janie Hempelu. Doniosła rola działalności Hempela w ruchu robotniczym, spółdzielczym i literackim okresu wojennego skłania do bliższego zainteresowania się książką temu poświęconą.

Działalność i spuścizna piśmiennicza Hempela nie doczekała się dotąd systematycznych i pogłębionych badań. Naszkicowana co prawda jego biografia reprezentowana ogólnie doktryne spółdzielczą, scharakteryzowano też twórczość krytyczno-literacką pisarza. Badaniami nie objęto jednak najistotniejszych działań twórczości Hempela. Zasygnalizowane tylko pewne problemy, a niewykorzystano dotknięto tylko warstwy dość znamiennej, zwłaszcza dla ostatniego okresu twórczości, ale w całością dającą dorobek autora mało znaczącą. Chodzi o twórczość o lewicowej orientacji społecznej i śmiałej wymowie światopoglądowej, z której wiele pracy musiał autor ukrywać pod różnymi pseudonimami, a część pozostała w rękopiśmiennicach.

Gruntowne studium J. Szydła jest ambitną próbą syntezą całokształtu myśli Hempela. Skupia się autor głównie na trzech watach twórczości Jana Hempela: etycznym (część I — „Z poglądów etycznych Jana Hempela”), religioznawczym (część II — „Z problematyki religioznawczej i wolnomyślicielskiej”) i spółdzielczym (część III — „W kregu ideologii i teorii spółdzielczości”). Są to wataki reprezentatywne dla światopoglądu Hempela, oddające jego specyfikę i charakter. Równocześnie należą one do tych warstw twórczości, w których najlepiej ujawnił się jego samodzielnny dorobek teoretyczny i ideowy. Koncentracja wysiłku badawczego na tych właśnie watach może być uznana za próbę poznawczego zblżenia się do centralnych składników myśli filozoficzno — społecznej Hempela.

Właściwe swoje rozważania poprzedza J. Szydl wstępem ukazującym syntetycznie ewolucję światopoglądu i ideowa Hempela. Jest to rekonstrukcja jego światopoglądu, przedłożenie dłażoletniej i trudnej środz myślicielu, wiedzącej od swolstora romantycznego, idealizmu i mesjanizmu poprzez odmiany nietszchanizmu, anarchizmu, syndykalizmu do marksizmu.

Jan Szydl zrekonstruuwał i krytycznie przedstawił podstawowe i najbardziej charakterystyczne elementy teoretyczne i aksjologiczne — normatywne światopoglądu omawianego myślicielu. Jednocześnie jest to opis i charakterystyka rozwiniętych w oparciu o ten światopogląd koncepcji teoretyczno-normatywnych i ideologicznych: etycznej, religioznawczej i ideologicznej. Próba wypracowania oeny ich historycznego, a także — w jakimś stopniu — współczesnego znaczenia.

Są to zasadnicze i charakterystyczne momenty postawy i myśli Hempela. Nie wyczerpują one oczywiście całości problematyki jego twórczości i praktycznej działalności. Rozprawa J. Szydła jest jednakże niezbędną podstawą dla dalszych studiów nad pozostałymi składnikami światopoglądu i myśli Hempela. Przed przyszłym badaczem stoi zadanie dogłębego oświetlenia związków uwarunkowań praktycznej działalności Hempela w ruchu robotniczym i spółdzielczym i jego myśli teoretycznej. To aktywny udział w robotniczej spółdzielczości warunkuje znajomość ewolucji jego doktryny aż do przylecia marksistowskiego punktu widzenia na sprawę spółdzielczości oraz teoretyczne pogłębienie zaakceptowanego stanowiska.

Wartość studium J. Szydła nie sposób jednak przecenić. Jego wartość docenia również zestawiona przez autora pierwsza tak wyczerpująca bibliografia twórczości Hempela. Książka zasługuje na uwagę osób i pojęć.

Stanisław Duda

Jan Szydl: Jan Hempel. Idee i wartości KIW, Warszawa 1975, str. 372.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechzyz-Rudnicka, Jerzy Dostali (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mankowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Przebiernatę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:

— do 25 listopada na styczeń, i kwartał, i półrocze roku następnego i na cały rok następny.

— do dnia 15 listopada, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78.—

Jednostki gospodarki społecznej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH”.

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zliczeniem wysyła się granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmującej RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH”. Centrala Kniptostawy Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1331-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-16.

Wydawca RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Weławnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unieka 4 Zam. 1809 9.VII.76 r.

Numer tamal: Wiktor Muda, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Nr indeksu: 36251

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 355-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

KOMAR SŁONIEM

CZY wypada mówić o drobiazgapach? Też ci pytanie. Świat pęka od problemów, mamy kryzys energetyczny, nie wiadomo czy przed milionami lat byli na Ziemi przybysze z Kosmosu, a tu niejak Ijon proponuje nam zabawę w pcheli. Do widzenia.

Czy wypada mówić o drobiazgapach? Też ci pytanie. Świat pęka od problemów, mamy kryzys energetyczny, nie wiadomo czy przed milionami lat byli na Ziemi przybysze z Kosmosu, więc cóż nam zostaje, kiedy wiemy tak mało i tak mało od nas zależy. Może papieroś?

Do czytelnika należy wybór którejś z tych postaw. Ja i tak zaczynam swoje.

Może to objaw starości, ale wyobraźcie sobie państwo, że reaguję na bzdury. A jeszcze bardziej — na atmosferę idealnej obojętnej jaka je toleruję. Jakbym widział stale powtarzający się błąd ortograficzny, z którym każdemu dobrze. „Jutro pogoda bezchmurna, lekkie tylko opady. Temperatura do 20°, wiatry zachodnie i południowe”.

Słucham w telewizji sprawozdań sportowych — a to Memorial Kusocińskiego, a to mistrzostwa Polski, a to trójmecz w Londynie — i nieustannie słyszę: „rzut nienajlepszy, w granicach 75 metrów”. Pewnie, że rzut jest ważniejszy od formy komunikatu, ale pytam uprzejmie: 75 metrów to granice, czy granica? Jak by w telewizji zostało przyjęte, gdybym napisał, że sprawozdanie wygłosili Jacek Zemantowski? „Rzut w granicach 75-77 metrów” — czy to tak trudno? Czy nie do uniknięcia jest nie popelnienie bzdury w sprawie tak prostej? Czy w TVP nie ma nikogo, kto by przy okazji podzielił: „Słuchaj, stary, z tymi granicami coś nie wychodzi”?

Samemu mi, i to na tych lamach, zdarzyło się napisać kilka słów o bronie sprawozdawców sportowych niesłusznie atakowanych za przejęzyczenia, niezupełnie poprawne zwroty, ryzykowne metafory. Są usprawiedliwione. Tłumaczy je atmosfera napięcia, konieczność pospiechu, emocji. W końcu — jednorazowość użycia. Ale à la longue, na zimno, systematycznie powtarzają językowy kiks, oczywisty, niewątpliwie, dziecinnie łatwy do usunięcia? Dziwne u ludzi, od których wymaga się znajomości nie jednego odczytującego, ale kilku obcych języków.

Równie osobliwie poczyna sobie sportowa prasa. Według niej zawod-

nik uprawiający zapasy w stylu klasycznym to kto? „Klasyk”. A zawodnik uprawiający zapasy w stylu wolnoamerykańskim? „Wolny”. Narciarz specjalista od konkurencji, która się nazywa „kombinacja alpejska” to „kombinator”. „Lechita” — członek klubu sportowego „Lechia”. Jedzie się tym zarogem, który byliby do przyjęcia dajmy na to, w jakiejś pośpiesznej rozmowie telefonicznej, kiedy w dodatku aparat źle działa. Nie jest natomiast do przyjęcia na lamach, których nawet w prasie sportowej na kolanie się przecież nie sporządza. „Klasyki gorsi od wolnych” — oto perełka tego stylu pełnego dobitności, wymowy i językowej sprawności w wydaniu ście sportowym.

Nie jestem przesadnym purystą i nie to mnie dźwiży, że takie wynaturzenia się zdarzają. Dźwiży mnie, że to nikogo nie dźwiży. Jak daleko, w jakie „granice” da się posunąć niedorzeczność, by ona nie wywołała niczyjego sprzeciwu? Czy już do tego stopnia obojętni jesteśmy na własny język? „Polityka” prowadziła kiedyś ten temat i bodaj jeszcze z niego nie zrezygnowała, a ma właściwie powód prowadzić go in perpetuum, bo ile się wykona pracy wykazują nieoszczędność w operowaniu mową oczyszczoną, tyle można spisać na straty wobec niewzruszonej obojętności społecznej. „Każdy jeden”. Prawda, jak piknie? Ale „każdego jednego” darował bym „każdemu jednemu”, kiedy w dyskusjach habilitowanych docentów, krytyków teatralnych, literatów słyszę „tylko i wyłącznie”.

„Nadałiśmy program dla dzieci”. Spikerka jest przy tym uśmiechnięta, jakby nie się stała, a nawet jeszcze lepiej: jakby wносиła tacę z filiżankami niezwykle aromatycznej herbaty. Tymczasem po raz któryś (bardzo liczny) popelnia jeden i ten sam błąd. Posługuje się terminem oznaczającym zbiór na określenie jednostki tego zbioru. Jakby mówiła „las” zamiast „sosna”. Racja jest w korzystniejszym położeniu: ma termin „audycja”, którym obejmuje każdą pozycję swego programu. Telewizja jeszcze nie ma i zanim co, z niedziałkiem na wtorek, że środy na czwartek jedzie tymi „programami”. Można wyłuszczyć, kiedy się słyszy, do jakiego stopnia gwałcił się znaczenie wyrazów w języku oczyszczonego tych kilkudziesięciu milionów mieszkających nad Wisłą. Oczywiście nie winię spikerki. Winię faktu, że nie powstał nowy potrzebny wyraz kiedy w języku dzisiaj powstawało tyle niepotrzebnych i dziwacznych.

Albo ten namaszczony, modlitewny, obrzędowy „reportaż” z losowania Toto-Lotka. To wiadomo, że ktoś tam zrywa pieczęć na pudle z galkami, wiadomo, że „galki z numerami są wprowadzone do bebn maszyn losujących” i w ogóle wiadomo wszystko poza wynikami losowania, które wiadome mogą się stać przez wyświetlanie jednej planszy. Po co ta cała obudowa ze słowem tak kunsztownie modulowanym a traktującym o niczym? Nudna, nijaka, długa, wciąż ta sama spikerka, w której zmieniają się tylko nazwiska osób asystujących i wylosowane numery. Czy nikogo to nie tknie? Nikt nie dotknie palcem czoła?

Drobiazgi. Tak, drobiazgi. Tym łatwiejsze do usunięcia. Bo niedorzeczny drobiazg nieustannie dokuczliwy i nieustannie tolerowany to już nie drobiazg. I komar słońciem, jeśli trafi.

Ijon

KOCHANA Zosiu! W pierwszych słowach mego listu donoszę, ci, że jestem całkiem zdrow, czego i tobie z całego serca życzę. Lipiec w Lublinie jest deszczowo-pogodny, gdyby nie koleżki nudziły się swoimi. Wczoraj posiałem w kolejkę przez godzinę, bo chciałem dostać się na „Szczękę”. Wszyscy chodzą na szczękę, żaden technik dentystryczny nigdy nie miał i nie będzie miał takiego powodzenia. Przy okazji doszedłem do wniosku, że mój ząb na przedzie nieco się psuje. A wiesz, jak jest z zębami. Dziś psuje się jeden, jutro drugi. A pojutrze trzeci. Mój dziadek wcale nie miał zębów, bo były czasy kapitalistyczne. Ja tam dziadek już nie pamiętam choć umarł grubo po wojnie. Właścicie nie umarł tylko się zapit. Ale to na jedno wychodzi. Więc poszedłem, Zosiu, na te „Szczęki”. Nim jednak poszedłem, nieco sobie o tych „Szczękach” pomyślałem. Bo nie chciałem iść jak ten cieniutki niedokształcony. Mój dziadek pochodził z Galijski i miał tylko cztery kłasy. Zawsze chwalił cesarza Franciszka Józefa. Ciekawy jestem, co by powiedział, o „Szczęce” tak jak i ja obejrzałem? Więc, Zosiu, film zaczyna się jakimś pić. Co oni piją to nie mogłem zauważyć, złytniej na stole nie widziałem. Ale za to przedwczoraj to myśmy z Jurkiem poszli w gaz. Litr pił nie wiadomo kiedy. Zadnych bab z nami nie było. A jakby nawet były, to choćby mnie nożami na kawałki krajali,

LIST

nigdy bym się nie przyznał. W każdym razie tam musiał coś pić. Tam, to znaczy na tych „Szczękach” bo jeden facet poszedł z dziewczyną nad morze i nogi mu się chwiała. Tak śmiesznie wyglądał, jeszcze śmieszniej od Ciebie Zosiu. Pamiętasz, jak się w zeszłym roku spłatał nad Białym? Ale fajnie było. Dziewczyna chyba też była trochę ustawiona, ale do wody pocięła. Na golasa. Niewiele jednak widziałem, bo to była noc i nie Ci o tej dziewczynie konkretnego powiedzieć nie mogę. Kąpie się ta dziewczyna, pływa w tę w tamtą. Normalka. A wcale nie normalka! W pewnym momencie wżasnęła i tyle było jej widać. Myślałem, że kurcz ją złapał. Potem była pokazana rodzina policjanta. Policjant nie miał mundur, ale za to nosił okulary. Taki nowoczesny szeryf. W łóżku leżała jakaś dziewczyna nawet fajna. Myślałem, że teraz będzie nowa fala. Okazało się jednak, że to nie była dziewczyna, ale żona. Nic więc z tych rzeczy nie pokazali, może by zresztą i pokazali, choć z żoną to chyba nie ciekawego, ale zadzwonił telefon. Policjant gdzieś poleciał, okazało się, że na plaży znaleźli ciało, a nawet kawałek ciała tej dziewczyny. No wiesz, też, co się wczorajem czy w nocy kąpała. Jakies pszczoły po niej latziały, musiała być bardzo słodka. Rada w radę orzekli, że ją rekina pożarł na kolację. Musiała jednak mu niezbyt smakować, bo pewną część zostawił. Wpakowali potem te szczątki do lodówki. Policjant chciał zamknąć plażę, ale pokłócił się z tamtejszym burmistrzem. I nie tylko z nim. Bo tam ludzie na ludziach zarabiają. Plażowicze się kąpią, ale jest wszysk człowieka przez człowieka, więc wszyski lupią z nich skórę, ile wlezie. Znaczą się ci lupią, którzy nad tym morzem stałe mieszkają. Plaża więc nadal była czynna, ale rekina wcale daleko nie odpłynęła. Widać domator. Po licha miał zresztą odpłynąć, kiedy wokół latilo tyle fajnego zarcia. Ostatecznie wybrał sobie jakiegoś chłoptaczka, widocznie wolat cielecinę od wotowliny. Ruch się zrobił potworny. Wszysko tak gnało, jak my czasem gnamy do „Delikatosew”

przed zamknięciem, by jeszcze te pół litra dokuć. Ale plaży mimo to dalej nie zamknęli. Policjant schował tylko jakiegoś eksperta, który ią była dziewczyną z lodówki obejrzał i doszedł do wniosku, że to był bardzo duży rekina. Potem ten ekspert przyniósł do policjanta dwa wina. Jedno czerwone i jedno białe. Nie wiedział, jakie policjant i jego żona lubią. Marli wina nie widziałem, a przecież mogli zarządkować i przy okazji dodatkową forsz zakosic. Jak widział, miałem już pierwszą rzeczową uwagę. Poźniej było zebranie. Nie wiem, czy ktoś protokołował, w każdym razie znalazł się taki jeden, który powiedział, że za dziesięć tysięcy dolarów i telewizor kolorowy tego rekina utłucze. A przedtem jeszcze ogłosił, że za zabicie rekina dadzą trzy tysiące dolarów. Ale co to trzy tysiące dolarów na taką drożynę? Mówił mi jeden, że w Ameryce wódka w sklepach kosztuje tyle, co w naszym „Forum”. A po co się pchać do ocean? Zie im było za Franciszka Józefa? Byli jednak tacy, co to im i na tych trzech tysiącach zażelazo. Ale jak ich rekina pocięgnią za sobą, jak molo to robił? Ten ekspert przyjechał i przywiózł z sobą luksusową lodź. Popłynęli nią raz wczorajem z policjantem i napotkałi drugą lodź. Ekspert zdziwił się, że była pusta. Ponurkował więc sobie i zobaczył, że ta lodź została od dołu jakby pogryzioną. Pchał się dalej i zobaczył głowę. Mówił ci, pierwszy raz ciarki mnie przeszły

choć to chyba nie była głowa żywa. W Londynie jest taki gabinet, w którym wszyski utęcy są jak żywi. Żyją, ale z wosku. Może więc tą głową z tego gabinetu uczono. Aha, jeszcze raz była pokazana ręka. Pływała sobie w morzu. Reszta chyba rekina zjadł. Co było dalej? Dalej ów policjant, ów ekspert i ten, co chciał dziesięć tysięcy dolarów i telewizor w kolorze, nazwał się bodaj Kwint, wybrał się jednak, by wspólnie tego rekina upolować.

Kwint był największym chłopem, przechwał się, co to on potrafi, ale w końcu nie on rekina zabił. To rekina jego pożarł. Mówię Ci, jak krew bryzgala! Nie będę Ci wszyskiego dokładnie opisywać, może jeszcze sama ten film obejrzyś, a jak Ci wszysko na ławę wyłożę, to nie będziesz miała żadnych atrakcji. Ale muszę Ci napisać, że ostatecznie tego rekina zaciupał policjant. Tak, tak, ten w okularach. Okulary wprowadził w międzyczasie zgubił, ale po co mu na takiego rekina, jak krawoznik, okulary? Słappy by dojrzał. Jak widać, Amerykanie nauczyli się od nas, policja, jak w naszych kryminalnych filmach, milicja, była na weterchu. Nie wtem tylko, jak ostatecznie wyszło z tą nagrodą. Czy policjant wziął te dziesięć tysięcy dolarów, czy podzielił się nimi z ekspertem, który przyjechał się w wodzie, ale ocalił, a może zatłulił to inaczej; /dali policjantowi awans i order, a także i wyteczkę do Białołęki za fundowali. Jeśli tak boję się trochę o nasze zuby. I myślę sobie jak to by było klaso, gdyby na przykład nasz Wajda podobny film nakręcił? Z zębrem-ludojadem, wielkim jak Pałac Kultury. Czekam na Ciebie, Zosiu. Nie zdradzaj mnie zbyt, bo się wnerwie. Pamiętaj, że Cię uważam i sam zawsze uważam. A tak możesz mieć bakhora, który przez całe życie będzie Ci żył w ust. Co innego, gdybyś miała pięćdziesiąt, wtedy i ja bym się przy nich uchował, bo wszyskie rady zakładowe i pozakładowe grosza by nie żałowały. Nie możesz jednak na pięćdziesiątki liczyć!

Twój kochający Cię REKINEK

bez tybubku

POWIEŚĆ GYZTELNIKÓW

— 12 —

Minęło kilka miesięcy... Jest lipiec, gorący lipiec. Elżbieta wstaje rano i przegląda się w lustrze, uśmiechając się do własnego odbicia. Ach ta figurka! Oryginalna, to prawda, ale nie, na pewno nie, w niej zmysłowego nie widzą ci, z którymi obcowala. Nie widzą? Nie widzieli? Ryszard, Zygmun — to już stare dzieje... Elżbieta rozpiła górną haftkę szlafrocika, wykreca się do profilu i głęboko oddycha. „Pierś mogłabym mieć nieco większe...” — myśli. — „Ale sżyję mam rzeźmicie ładną”. Przypomina sobie, jak to Ryszard nazwał ją kiedyś zartobliwie zyrfa. Ha, ha, ha... Gdy tak pełna bezwstydu robi przegląd swego ciała, do drzwi dyskretnie puka matka. — Elu, już śniadanie stoi na stole. Śniadanie na stole! Jak wspaniale być nareszcie w domu, nie kłopotać się o nic. Wszędzie czuć troskliwość rodziców, którzy tak długo czekali na przyjazd do Iwonicez ukochnęj córki. Elżbieta klaszcze po nagich biodrach, najrozkoszniej na świecie uśmiecha się jeszcze raz do swego odbicia w lustrze. Potem rozchyła różowe usta, zegnając się z samą sobą. Mama nalewa kawę i patrzy na córkę z czułością. — Masz jakieś plany na dzisiaj? — pyta. — Nie, Pójdę po południu do „Krakowiaka”. — Za długo wystawiesz w kawiarni. Ale należy ci się

odpoczynek. Nie zapominaj jednak, że przetożyłaś sobie na jesień jeden egzamin. — Dam sobie radę, mamusiu. Masz zdolną córkę! — Nie zakochataś się jeszcze? — I tak i nie, mamusiu. Ale już mi wszysko przeszło. Czekam teraz na nowego Godota. — Elu, czy ty... — Co mamusiu? — Nie wiem, jak cię o to zapytać. — Tak po prostu zapytaj. — Czy ty już miałaś kogoś? Wiesz, tak, jak żona ma męża. — Mamunia, jak ty jesteś średnioletnia! Gdzie ty się, kochana, uchowałaś? Już nie jestem przecież dziewczynką. — Boję się o ciebie. Mężczyźni są tacy podli! — Jakaś daję sobie z nimi radę. — Moim pierwszym mężczyzną był twój ojciec. — I nikogo w życiu poza nim nie miałaś? — Elu, przecież matka i tak ci tego nie powie! — Obejmuję córkę za szyję i całuje jej włosy. Elżbieta czuje się bezpieczna. Tak tęskniła za tą chwila. Podnosi głowę i spogląda na matkę. Widzi twarz zmęczoną nieco, ale ciągle młodą. — Mamu, ty już skończyłaś czterdziestkę — raczej stwierdza, niż pyta. — A co, wyglądam na to? — Ty dla mnie jesteś zawsze młodą. I zawsze młodą po zostaniesz. Do końca mojego życia. Mamu, ty się musisz podobać mężczyznom! — Przystań, Elu, bo się zarumienię. Poskarżę się do ojca. O co ty mnie podejrzewasz? ..

W „Krakowiaku” po południu prawie wszyskie stoliki zajęte. Zachmurzyło się gwałtownie, spadł deszcz, wytopsyli ludzi ze spacerów. Jakiś poeta czyta swoje wiersze. Rozrywka kulturalna dla sanatoryjnych kuracjuszy. Elżbieta słucha jednym uchem. Zwraca bardziej uwagę na melodię głosu niż na same słowa. Poeta ma około lat trzydziestu. Poeta kończy. Slabe oklaski. — Czy są jakies pytania? — To głos organizatora spotkania. Cicho. — Proszę śmiało pytać. Nie zawsze możemy spotkać prawdziwego poetę. Elżbieta dla samej zabawy pragnie zwrócić na siebie uwagę. — Proszę pana — podnosi się z miejsca... — Niech pani siedzi. Tutaj nie szkota — poeta czuje się skrepowany. — Proszę pana, dlaczego pan pisuje wiersze? Poeta się uśmiecha.

— Doprawdy nie wtem, co pani odpowiedzieć. Jeden lubi oszukiwać drugi kraść, trzeci mordować. Ja pisuję. Nikomu krzywdy nie robię. — A dlaczego pana wiersze są takie trudne? Poeta się uśmiecha. — Potem pani powiem. — Brzmi to dość prowokacyjnie. Po spotkaniu sam do niej podchodzi. — Możemy trochę porozmawiać? — Chętnie. — Wypije pani maty kofakt? — Ale pan szybki! Wszyski poeci są tacy, jak pan? — Mogę mówić tylko o sobie. Poeta podnosi do góry kieliszek. — Andrze! mam na imię. Proszę mnie tak nazywać. — Elżbieta. — Mogę panią pocałować? — W ręce. I niech pan wysiędzie z tej rakiety międzyplanetarnej i znajdzie się na ziemi. — Proszę mi mówić „Andrze!u”. Wiesz, gdyby poezja nie była nieśmiertelna, kobiety by ją dawno zabiły. Wyzwolenie, Elu, tak wyzwolenie. Wy, kobiety, je dajecie. Przyjechałaś do sanatorium? — Nie. Ja tutaj mieszkam. — Chodzisz do szkoły? — Komplement. Dziękuję. Nie. uczęszczam na Akademie Medyczną. Przyjechałam do rodziców. — No to pijemy za przyzłą lekarkę. Miło będzie kiedyś upaść w twoje ręce. — Wizyty u lekarzy nigdy nie należą do rzeczy miłych. — Staram się więc ich unikać. Choć nie wiem co będzie, gdy już skończysz te medyczne. — Wyjdziesz dzisiaj z powrotem? — Nie. Zoszę być przez trzy dni. Trzeba trochę odpocząć. Będzie cię różna widywać? — Pani przyniesie jeszcze dwa koniaki. Te same — Andrzej zwraca się do kelnarki. (cdn)

Dzisiaj z ośmiu (mało!) nadesłanych odcinków wybrałiśmy tekst nadesłany przez Mariana W. (prosił o niepodawanie nazwiska) z Iwonicez. „Czytam powieść systematycznie — pisze w liście. — Przyjechałem do Iwonicez i przypomniałem sobie, że stąd Elżbieta pochodzi. Doszedłem do wniosku, że czas, aby tu przybyła. I czas też powieść ułożyć w lecie. Zaczęła się w zimie, potem akeja rozkręcała się z dnia na dzień i właściwie z tej zimy nie wyszła. Dlatego zacząłem od słów: „Minęło kilka miesięcy”. Teraz jest jasność”. Dziękujemy. Na kolejny odcinek czekamy do 30 lipca. (Adres — str. 15).